Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 7. Grudnia 1879 r. Tom IX.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 45.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

SZKICE WĘGLEM.

LITWOSA.

(Dokończenie).

— Ach! — przerwała nagle — gdybym go znała, jestem pewna, że byłabym w nim zakochana. Zrozumielibyśmy się z pewnością.

— Na szczęście jest żonaty! — odparł sucho pan Wiktor.

Panna Jadwiga schyliła trochę główkę, ścisnęła pół uśmiechem usta, aż jej się dołki ukazały na policzkach i spoglądając z ukosa na pana Wiktora, spytała:

— Na szczęście! — dla kogo!

— Na szczęście dla tych wszystkich, dla którychby życie nie miało wówczas żadnego powabu.

To mówiąc, pan Wiktor był bardzo tragiczny...

— O! pan za dużo mi przypisuje.

Pan Wiktor przeszedł w lirykę:

— Pani jesteś aniołem...

— No... to dobrze... to mówmy o czem innem. Więc pan nie lubi Elego?

— Zacząłem go nienawidzieć przed chwilą.

— Brzydki grymaśnik z pana. Proszę się rozchmurzyć i wymówić mi swego ulubionego poetę.

— Sowiński... mruknął ponuro pan Wiktor.

— A ja się go po prostu boję. Ironja, krew, pożar... dzikie wybuchy!

— Takie rzeczy nie przestraszają mnie wcale.

To rzekłszy, pan Wiktor spojrzał tak walecznie przed siebie, że aż pies, który wybiegł z jednej chałupy, schowawszy ogon pod brzuch, cofnął się przerażony.

Tymczasem doszli do czworaków, w oknie których mignęły im: kozia bródka, zadarty nos, i jasno zielony krawat, a potem zatrzymali się przed ładnym domkiem, pokrytym dzikiem winem i patrzącym tylnemi oknami na staw.

— Widzi pan, jaki to ładny domek, to jest jedyne poetyczne miejsce w Baraniej-Głowie.

— Cóżto za dom?

— Teraz tam stoją beczki z okowitą.

Ale nie dokończył myśli, bo doszli do wielkiej kałuży, w której leżało kilka świń „słusznie tak nazwanych, dla swego niechlujstwa.“ Żeby tę kałużę obejść, trzeba było przejść koło chałupy Rzepowej; poszli więc tamtędy.

Przed wrotami siedziała na pieńku Rzepowa, z łokciami opartemi na kolanach, i z twarzą podpartą na ręku. Twarz ta była blada i jakoby skamieniała, oczy czerwone, wejrzenia mętne i utkwione w dal bez myśli.

Rzepowa nie słyszała nawet przechodzących, ale panienka spostrzegła ją zaraz i rzekła:

— Dobry wieczór, Rzepowa!

Rzepowa wstała i zbliżywszy się, podjęła pod nogi pannę Jadwigę i pana Wiktora, przyczem rozpłakała się cicho.

— Co to wam Rzepowa? — spytała panna.

— O jagódko moja złota, o zorzo moja rumiana! może mi Bóg ciebie zesłał! Przyczyń że ty się za mną, pociecho nasza! — Tu Rzepowa zaczęła opowiadać rzecz całą, przeplatając opowiadanie całowaniem panienki po ręku, a raczej po rękawiczkach, które przytem łzami plamiła; panienka zmięszała się bardzo; widać było wyraźnie kłopot na jej ładnej poważnej towarzyczce — i sama nie wiedziała co począć, nakoniec jednak rzekła z wahaniem.

— Cóż ja wam poradzę, moja Rzepowo! Mnie was żal bardzo. Doprawdy... cóż ja mogę wam poradzić. Idźcie zresztą do papy... może papa... No! bądźcie zdrowi moja dobra Rzepowo...

To rzekłszy, panna Jadwiga podniosła jeszcze wyżej migdałową sukienkę, aż nad trzewikiem błyszczała biała w błękitne paski pończoszka — potem zaś panna Jadwiga poszła dalej z panem Wiktorem.

— Niech cię Bóg błogosławi, kwiateczku najpiękniejszy! — zawołała za nią Rzepowa.

Panna Jadwiga posmutniała jednak, a panu Wiktorowi zdawało się nawet, że widzi łezkę w jej oku; więc, żeby odgonić smutek, zagadał o Kraszewskim, i o innych mniejszych już rybach literackiego morza; jakoż w rozmowie, która ożywiła się stopniowo, zapomnieli wkrótce o tej „niemiłej sprawie.“

— Do dworu? — mówiła sobie tymczasem Rzepowa. A toć mnie tam najpierwej trzeba było iść. Oj głupia też ze mnie kobieta!

VIII.

Imogena.

We dworze był ganek obrośnięty winem, z widokiem na dziedziniec i na topolową drogę. W tym ganku państwo pijali latem kawę po obiedzie. Siedzieli też tam i teraz, a z niemi razem ksiądz dziekan Ulanowski, ksiądz Czyżyk i rewizor gorzelany Stołbicki. Pan Skorabiewski, człowiek dość otyły i dość czerwony, z wielkiemi wąsami, siedział na krześle, paląc fajkę, pani Skorabiewska nalewała herbatę, rewizor zaś, który był sceptyk, poddrwiwał ze starego dziekana.

— Ot! niech-no nam ksiądz dobrodziej opowie o tej sławnej bitwie — mówił rewizor.

A dziekan przyłożył rękę do ucha i pyta:

— Hę?

— O bitwie! — powtórzył rewizor głośniej.

— A? o bitwie? — rzekł dziekan, i jakby zamyśliwszy się, począł coś szeptać do siebie, i patrzeć w górę niby sobie coś przypominając — rewizor nastawił już minę do śmiechu, wszyscy czekali na opowiadanie, choć je już ze sto razy słyszeli, bo zawsze na nie wyciągali staruszka.

— Co? — zaczął ksiądz dziekan — ja jeszcze wtedy byłem wikarjuszem, a proboszczem był ksiądz Gładysz... dobrze mówię: ksiądz Gładysz. — To on co zakrystję przebudował... A światłość wiekuista!!... Więc zaraz po sumie powiadam: Księże proboszczu? A on pyta: co? Mnie się zdaje, że to coś z tego będzie — powiadam. A on mówi: I mnie się zdaje, że to coś z tego będzie. Patrzymy: aż tu z za wiatraka wyjeżdżają to na koniach, to piechotą, a tam chorągwie, a armaty. Tak ja zara pomyślałem sobie: o! Aż tu i z drugiej strony — owce? myślę, a to nie owce tylko kawalerja. Jak tylko tych zobaczyli, tak: stój! a tamci także: stój! A tu z lasu jak nie wypadnie kawalerja — dopiero ci w prawo, tamci w lewo, ci w lewo, tamci za niemi. Dopiero widzą: trudno! więc także na nich. Jak nie zaczną strzelać, a za górą znowu coś błysnęło. Czy proboszcz widzi? powiadam — a proboszcz mówi: widzę — a tam już walą z armat, z karabinów; tamci do rzeki, ci nie puszczają; ten tego, ten owego!... co ci przez jakiś czas górą, to znowu tamci. Huku! dymu! a potem na bagnety! Ale zaraz mi się zdało, że ci już słabną. Księże proboszczu — mówię, tamci górą! A on mówi: I mnie się zdaje, że górą. Ledwiem domówił, ci w nogi! tamci za niemi; dopiero ich topić, zabijać, brać w niewolę, i myślę: skończy się... ale gdzietam! tego... powiadam, właśnie — no!

Tu staruszek machnął ręką i osadziwszy się głęboko, wpadł jakoby w zadumę, tylko głowa trzęsła mu się mocniej jak zwykle, a oczy bardziej jeszcze na wierzch wyłaziły.

Rewizor aż się zapłakał od śmiechu.

— Księże dobrodzieju! — zapytał — któż się z kim bił, gdzie i kiedy?

A kanonik rękę do ucha i mówi:

— Hę?

— Ot! prosto nie mogę od śmiechu! — rzekł do pana Skorabiewskiego rewizor.

— A może cygarko?

— A może kawy?

— Nie; nie mogę od śmiechu.

Śmieli się i państwo Skorabiewscy przez grzeczność dla rewizora, choć tego opowiadania musieli słuchać, jak zapisał co niedziela; wesołość była więc ogólna, gdy nagle przerwał ją cichy lękliwy głos z zewnątrz ganku, który rzekł:

— Niech będzie pochwalony!

Pan Skorabiewski, zaraz podniósł się, wyszedł przed ganek i spytał:

— A kto tam?

— To ja, Rzepowa.

— Czego?

Rzepowa schyliła się, o ile jej na to dzieciak pozwalał, i podjęła go pod nogi.

— Po ratunek jaśnie dziedzicu, i po zmiłowanie.

— Moja Rzepowa, dajcie mi też choć w niedzielę pokój! — przerwał pan Skorabiewski, z taką dobrą wiarą, jakoby Rzepowa nachodziła go w każdy dzień powszedni. — Widzicie przecie, że teraz mam gości. Toć ich dla was nie zostawię.

— Ja zaczekam...

— No to czekajcie że. Ja się przecię na dwoje nie rozerwę...

To rzekłszy, pan Skorabiewski wsunął napowrót swe obszary w ganek, a Rzepowa cofnęła się aż do kratek ogrodowych i stanęła przy nich pokornie. Ale przyszło jej czekać dość długo. Państwo się tam zabawiali rozmową, a uszu jej dolatywały wesołe śmiechy, które dziwnie brały ją za serce, bo nie do śmiechu jej było niebodze. Potem wrócili pan Wiktor z panną Jadwigą, a następnie poszli wszyscy na pokoje. Powoli słońce się miało ku zachodowi. Na ganek wyszedł lokajczuk Jasiek, którego pan Skorabiewski nazywał zawsze: „jeden z drugim“ — i zaczął nakrywać do herbaty. Zmienił obrus, postawił filiżanki i począł wypuszczeć w nie z brzękiem łyżeczki. Rzepowa czekała i czekała. Przychodziło jej do głowy, czyby nie wrócić do chałupy, a przyjść później, ale bała się, że potem będzie zapóźno; przysiadła więc tylko na trawie pod płotem i dała dziecku piersi. Dziecko nassało się i usnęło, ale niezdrowym snem, bo już od rana było jakieś słabe. Rzepowa także czuła, że to gorąco, to zimno przebiega ją od stóp do głowy. Czasem także brały ją ciągoty, ale nie zważała na to, tylko czekała cierpliwie. Powoli zmroczyło się, i księżyc wszedł na sklepienie niebieskie. Do herbaty było już zastawiono? w ganku paliły się lampy, ale państwo nie przychodzili, bo panna grała na fortepianie. Rzepowa zaczęła sobie mówić pod sztachetami: „Anioł pański,“ a potem rozmyślała, jak też to ją poratuje pan Skorabiewski. Dobrze ona nie wiedziała jak? ale rozumiała, że pan jako pan, to i z komisarzem ma znajomość i z naczelnikiem; byle tylko słowo rzekł, jak wszystko się stało, a to i da Pan Bóg, że się złe odmieni. — A przytem myślała, że niechby się Zołzikiewicz, albo wójt przeciwiał, to pan wiedziałby gdzie pójść po sprawiedliwość: „Panosko zawdyk dobry był i dla ludzi miłosierny — myślałała sobie — toć mnie tak nie ostawi.“ I nie myliła się, bo pan Skorabiewski istotnie był człowiek ludzki. Dalej przypomniała sobie, że i na Rzepę zawsze był łaskaw — dalej, że jej nieboszczka matka wykarmiła pannę Jadwigę, więc i otucha wstąpiła w jej serce. To, że czekała już parę godzin, wydało jej się tak naturalne, że nie zastanawiała się nad tem. Tymczasem państwo wrócili na ganek Rzepowa widziała przez liście winne, jak panienka nalewała ze srebrnego imbryka „arbatę“ czyli jak mawiała nieboszczka matka Rzepowej: „taką wodę pachniącą, co ci od niej w calusieńskiej gębie puszy.“ Potem pili ją wszyscy, rozmawiali i śmieli się wesoło. Dopiero wtedy przyszło Rzepowej do głowy, że w pańskim stanie to zawsze jest więcej szczęścia niż w prostym, i sama nie wiedziała, czemu łzy znowu popłynęły jej po twarzy. Ale te łzy ustąpiły wkrótce innemu wrażeniu, bo oto na ganek „jeden z drugim“ wniósł dymiące półmiski; wtedy przypomniała sobie Rzepowa, że jest głodna, bo obiadu nie mogła wziąść w usta, a rano tylko się trochę mleka napiła.

— Oj! żeby mi też choć kosteczki dali ogryźć! — pomyślała sobie; i wiedziała, że daliby z pewnością, nietylko kosteczki, ale nie śmiała prosić by się nie naprzykrzać, i w oczy nie leźć przy gościach, zacoby się może pan i rozgniewał.

Nareszcie skończyła się i kolacja; rewizor odjechał zaraz, a wpół godziny potem i obaj księża siadali już na dworską brykę. Rzepowa widziała, jak pan podsadzał dziekana, więc osądziła, że chwila nadeszła, i zbliżyła się ku gankowi.

Bryka ruszyła; pan krzyknął na drogę furmanowi: „A przewróć tam na grobli, to ja ci przewrócę!“ potem spojrzał na niebo, chcąc widać wymiarkować, jaka będzie jutro pogoda — nareszcie dojrzał w ciemności bielejącą koszulę Rzepowej.

— A kto tam?

— Rzepowa.

— A to wy! gadajcie prędzej czego chcecie, bo późno.

Rzepowa powtórzyła mu znowu wszystko; pan słuchał i tylko pykał z fajki przez cały czas, a potem rzekł:

— Moi kochani! Ja pomógłbym wam chętnie, gdybym mógł, ale dałem sobie słowo, że ja się w sprawy gminne nie będę wtrącał.

— Dyć ja wiem, jaśnie dziedzicu — rzekła drżącym głosem Rzepowa — ale pomyślałam sobie, że może jaśnie dziedzic ulituje się nademną...

Głos jej urwał się nagle.

— Wszystko to bardzo dobrze — rzekł pan Skorabiewski — ale co ja mogę zrobić? Ja swojego słowa dla was łamać nie mogę, a do naczelnika za wami nie będę jeździł, bo on już i tak powiada, że nachodzę go ciągle własnemi sprawami... Wy macie swoją gminę, a jak gmina wam nie poradzi, to do naczelnika znacie drogę tak jak i ja. Cóżem chciał mówić? moja Rzepowa. No! idźcie z Bogiem.

— Panie Boże zapłać — ozwała się głucho kobieta, podjąwszy dziedzica pod nogi.

IX.

Imogena.

Rzepa po wyjściu z chlewka, poszedł prosto nie do chałupy, ale do karczmy. Wiadomo, że chłop w utrapieniu pije. Z karczmy, powodowany tąż samą myślą co i Rzepowa poszedł do pana Skorabiewskiego i głupstwo zrobił.

Człowiek nietrzeźwy nie wie co gada. Otóż Rzepa był natarczywy, a gdy usłyszał toż samo co Rzepowa, o zasadzie nieinterwencji, nietylko, że wskutek przyrodzonej prostakom tępości umysłowej, tej wysoce dyplomatycznej zasady nie pojął, ale z gburowatością właściwą również prostakom, ozwał się, i został wyrzucony za drzwi.

Gdy przyszedł napowrót do chałupy, sam powiedział żonie:

— Byłem we dworze.

— I nie wskórałeś nic.

A on pięścią o stół.

— Podpalićby ich psio-wiary.

— Cichajże zbereźniku! Co ci ta pan powiedział?

— Odesłał mnie do naczelnika. Żeby jego...

— Ono, to chyba trzeba iść do Osłowic.

— Pojadę do Osłowic — mówił zaraz wtedy — i pokażę mu, że się bez niego obędzie.

— Nie pojedzieszże ty nieboraku mój serdeczny— tylo ja sama. Ty ino się napijesz, to zara hardo się stawisz, i tylko nieszczęścia przymnożysz.

Rzepa z początku było nie chciał, ale zaraz popołudniu poszedł do karczmy zalać robaka — nazajutrz dzień toż samo; kobieta więc nie pytając już nic, zdała wszystko na wolę Bożą, i we środę, wziąwszy dziecko, wyszła do Osłowic.

Koń był przy gospodarstwie potrzebny, więc poszła piechotą i świtaniem, bo do Osłowic było trzy opętane mile. Myślała, że może i spotka dobrych ludzi jadących, którzy pozwolą się jej przysiąść bodaj na brzeżku fury, ale nie spotkała nikogo. O dziewiątej rano, siadłszy zmęczona na skraju lasu, zjadła kromkę chleba i parę jaj, które miała ze sobą w kobiałce, potem poszła dalej. Słońce zaczynało przypiekać, więc spotkawszy pachciarza Herszka z Wrzeciądzy, który wiózł w drabkach gęsi do miasta, zaczęła prosić, żeby ją zabrał na furę.

— Z Bogiem moja Rzepowa — odpowiedział Herszek — ale tu taki piach, że koń ledwie mnie samego ciągnie. Dacie złoty, to was wezmę?

Dopiero przypomniała sobie, że miała tylko jeden czeski zawiązany w chuście. Chciała żydowi dać go zaraz, ale on odpowiedział.

— Czeski? I czeskiego na ziemi nie znajdzie — i to pieniądz! cy! cy!

To rzekłszy zaciął konia i pojechał dalej. Na świecie stawało się coraz goręcej i pot lal się strumieniem z Rzepowej, ale zbierała nogi jak mogła, i w godzinę później wchodziła już do Osłowic.

Kto zna jak należy geografię, ten wie, że wjeżdżając od strony Baraniej - Głowy do Osłowic, trzeba przejeżdżać koło kościoła poreformackiego, w którym dawniej była Matka Boska cudowna, a około którego, jeszcze dziś, co niedziela siedzi cała ulica dziadów wrzeszczących w niebogłosy. Teraz, że to był dzień powszedni, siedział więc pod parkanem tylko jeden dziad, ale za to wyciągał z pod łachmanów gołą nogę bez palców i trzymając w ręku wierzch pudełka od szuwaksu śpiewał:

„Święta, niebieska,
„Pani anielska!

Ujrzawszy kogo przechodzącego, przestawał śpiewać, ale wysuwając jeszcze dalej nogę poczynał krzyczeć, jakby go kto ze skóry obdzierał:

— Miłosierne osoby! Biedna kaleka litości błaga! Niech wam Pan Bóg miłosierny, da wszystko dobre na ziemi!

Ujrzawszy go Rzepowa, odwiązała z chusty swego czeskiego, i zbliżywszy się rzekła:

— Mata pięć groszy?

Chciała mu dać tylko grosz, ale dziad poczuwszy szóstaka w palcach, nuż jej wymyślać: „Żalujeta czeskiego Panu Boku, pożałuje i wam Pan Bóg wspomożenia. Idźta do paralusa, pókim dobry!“

Więc Rzepowa sobie rzekła: „Niech to będzie na chwałę Bożą“ — i poszła dalej.

Dopiero jak przyszła na rynek, tak się zlękła. Łatwo było przyjść do Osłowic, ale zabłądzić w Osłowicach jeszcze łatwiej. A toć to miasto nie żarty! Przyjdziesz do jakiej nieznajomej wsi, a już musisz wypytywać się gdzie kto mieszka, a cóż dopiero w takich Osłowicach. „Ja się tu zgubię, jak w lesie“ pomyślała Rzepowa. Nie było innej rady, jak wypytywać się ludzi. O komisarza wypytała się łatwo, ale poszedłszy do jego domu, dowiedziała się, że wyjechał do gubernii. O naczelniku powiedzieli jej, że go trzeba szukać w powiecie. — Ba! a powiadali zaraz głupia, głupia kobieta, przecie w Osłowicach a nie gdzieindziej.

Szukała tedy w Osłowicach powiatu, szukała, nareszcie patrzy; stoi jakiś pałac, wielki aż strach, a przed nim co niemiara bryk i wozów i bid żydowskich. Rzepowej zdawało się, że to jaki odpust. „A kaj tu je powiat?“— pyta Rzepowa jakiegoś we fraku podjąwszy go pod nogi. — „Toć stoisz kobieto przed nim.“ Zebrała się z duchem i weszła do pałacu. Patrzy znowu: a tam pełno korytarzy, na lewo drzwi, na prawo drzwi, dalej jeszcze i drzwi i drzwi, a na każdych jakieś litery. Przeżegnała się Rzepowa i otworzywszy z nieśmiałością i pocichutku pierwsze, znalazła się w jakiejś wielkiej izbie, podzielonej stalami jak kościół.

Za stalami siedział jakiś we fraku ze złocistemi guzikami i z piórem za uchem, a przed stalami różnych panów co niemiara. Panowie płacili i płacili, a ten we fraku palił papierosa i pisał kwitki, ten wychodził. Dopiero Rzepowa pomyślała, że tu trzeba płacić, i pożałowała swojego czeskiego. To też z nieśmiałością wielką przystąpiła do kratki.

Ale tam nikt nawet na nią nie spojrzał. Stoi Rzepowa, stoi; upływa z godzina; jedni wchodzą, drudzy wychodzą, zegar za kratką tyka, a ona stoi. Nakoniec przerzedziło się i w izbie nikogo nie stało. Urzędnik siadł za stołem i zaczął pisać. Wtedy Rzepowa ośmieliła się odezwać:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Czego tam?

— Jaśnie naczelniku!...

— Tu jest kassa.

— Jaśnie naczelniku....

— Tu jest kasa, mówię wam!

— A kaj naczelnik?

Urzędnik pokazał drugim końcem pióra na drzwi.

— Tam!

Rzepowa wyszła znowu na korytarz. Tam? Ba? ale gdzie? Drzwi wszędzie co niemiara, w które tu pójść? Nareszcie widzi, że między rozmaitymi ludźmi, którzy chodzą to w tę, to w tamtą stronę, stoi chłop z biczem w ręku, więc zaraz do niego.

— Ojcze?

— A czego chceta?

— Zkądeście?

— Z Wieprzkowisk, abo co?

— Kaj tu naczelnik?

— Czy ja wiem.

Potem spytała jeszcze jakiegoś ze złotemi guzikami, ale nie we fraku i z dziurami na łokciach; ten nie chciał jej nawet słuchać, odpowiedział tylko:

— Nie mam czasu.

Rzepowa znów weszła w pierwsze lepsze drzwi. Nie wiedziała biedaczka, że na tych drzwiach stał napis: „Osobom nie należącym do składu urzędu, wchodzić nie wolno.“ Ona do składu urzędu nie należała; napisu, jak się rzekło, nie widziała.

Tylko co otworzyła drzwi, patrzy: izba pusta, pod oknem ławka, na ławce siedzi jakiś i drzemie. Dalej drzwi do innego pokoju, w których widać chodzących panów we frakach i w mundurach.

Rzepowa zbliżyła się do tego, który drzemał na ławie; miała do niego trochę śmiałości, bo człowiek wyglądał prosty i buty miał na wyciągniętych przed się nogach dziurawe.

Trąciła go w ramię.

On się zerwał, spojrzał na nią i jak krzyknie:

— Nie wolno!

Kobiecina w nogi, a on drzwiami za nią trzasnął.

Znalazła się trzeci raz na tym samym korytarzu.

Siada koło jakichś drzwi, i z cierpliwością prawdziwie chłopską, postanowiła siedzieć przy nich, choćby do skończenia świata. „A przecie kto może i zapyta!“ — myślała sobie. — Nie płakała, tylko tarła oczy, bo ją swędziły i czuła, że cały korytarz ze wszystkiemi drzwiami, zaczyna się z nią kręcić.

A tu ludzie koło niej, to w prawo, to w lewo; drzwiami trzask! trzask! a rozmawiają ze sobą, słychać: haru! haru! jak na jarmarku.

Wreszcie jednak Bóg zmiłował się nad nią. Z tych drzwi, przy których siedziała, wyszedł stateczny szlachcic, którego czasem w kościele we Wrzeciądzy widywała; potknął się o nią i pyta:

— A wy tu czego, kobieto, siedzicie? Co?

— Do naczelnika...

— Tu jest komornik nie naczelnik.

Szlachcic ukazał drzwi w głębi korytarza.

— Tam gdzie ta zielona tabliczka — co? ale nie chodźcie do niego, bo zajęty — co? Zaczekajcie tu, on musi tędy przechodzić.

I szlachcic poszedł dalej, a Rzepowa spojrzała za nim takiem spojrzeniem, jakby za swoim aniołem stróżem.

Przyszło jej jednak jeszcze dość długo czekać, aż nareszcie drzwi z zieloną tabliczką otworzyły się z trzaskiem, wyszedł z nich niemłody już wojskowy i szedł przez korytarz spiesząc się bardzo. Oj! zaraz można było poznać, że to naczelnik, bo za nim w dyrdy leciało kilku interesantów, zabiegając mu to z prawej, to z lewej strony, a do uszu Rzepowej doszły wykrzyki: „Panie naczelniku dobrodzieju!“ „Słóweczko panie naczelniku!“ „Łaskawy naczelniku!“ Ale on nie słuchał i szedł naprzód. — Rzepowej aż zaraz pociemniało w oczach na jego widok. „Dziej się wola Boża!“ przemknęło jej w głowie, więc

*

wypadła na środek korytarza, i klęknąwszy z podniesionemi rękoma, zagrodziła mu drogę.

Spojrzał — stanął — cała procesja zatrzymała się przed nią.

— Toż co jest? — spytał.

— Przenoświętsy naczelni...

I nie mogła dalej; zalękła się tak, że głos urwał się jej w gardle; język kołem stanął.

— Czego?

— O! o! ady! ady! wedle... poboru.

— Cóż to? was do wojska chcą? — a? — spytał naczelnik.

Interesanci zaraz chórem w śmiech, by podtrzymać dobry humor naczelnika, ale on zaraz do tych swoich dworzan:

— Proszę! proszę cicho! A potem niecierpliwie do Rzepowej. — „Prędzej! czego? bo nie mam czasu!"

Ale Rzepowa do reszty straciła głowę od śmiechu panów, więc poczęła tylko bełkotać bez związku: „Burak! — Rzepa! Rzepa! Burak — o!

— Musi być pijana! — rzekł jeden z otaczających.

— Zostawiła język w chałupie — dodał drugi.

— Czegóż chcecie? — powtórzył jeszcze niecierpliwiej naczelnik. Pijaniście — czy co?

— O Jezusie! Maryja! — wykrzyknęła Rzepowa, czując, że ostatnia deska zbawienia wysuwa się jej z rąk. Przenoświętsy nacel...

Ale on był istotnie bardzo zajęty, bo to i spisy się już zaczęły i interesów w powiecie było mnóstwo — zresztą, z kobietą dogadać się nie mógł, więc tylko kiwnął ręką i zawołał:

— Wódka! wódka! A kobieta młoda i ładna.

Potem do Rzepowej takim głosem, że mało się pod ziemię nie schowała:

— Jak wytrzeźwiejesz, to sprawę przedstawić gminie, a gmina niech przedstawi mnie!

Poszedł spiesznie dalej, a interesanci za nim powtarzając: „Panie naczelniku dobrodzieju!" „Słóweczko panie naczelniku!" „Łaskawy naczelniku!" . . . .

. . . .

Korytarze opustoszały; zrobiło się na nich cicho, tylko dzieciak Rzepowej począł wrzeszczyć. Więc rozbudziła się jakoby ze snu, wstała, podniosła dziecko i zaczęła mu pośpiewywać jakimś nie swoim głosem:

— Aa! aa! aa!

Potem wyszła z gmachu. Na dworze niebo zawlokło się chmurami; na krańcach widnokręgu grzmiało.

W powietrzu było parno.

Co się działo w duszy Rzepowej, gdy przechodziła znowu koło poreformackiego kościoła z powrotem do Baraniej-Głowy, nie podejmuję się opisywać. Ach! gdyby to tak panna Jadwiga znalazła się w podobnem położeniu, dopierożbym napisał sensacyjny romans, którym podjąłbym się przekonać najzaciętszych pozytywistów, że są jeszcze idealne istoty na świecie. Ale w pannie Jadwidze każde wrażenie doszłoby do świadomości siebie; rozpaczne rzuty duszy wyraziłyby się w niemniej rozpacznych, a zatem bardzo dramatycznych myślach i słowach. Owo koło błędne — głębokie, a przebolesne poczucie bezradności, niemocy i przemocy — ta rola liścia wśród burzy, głuche poznanie, że znikąd ratunku, ani z ziemi, ani z nieba, natchnęłoby zapewne pannę Jadwigę, jakimś nie mniej natchnionym monologiem, który potrzebowałbym tylko spisać, aby sobie zrobić reputacją. A Rzepowa? Ten prosty naród gdy cierpi, to tylko cierpi i nic więcej! Rzepowa w twardem ręku niedoli spoglądała tylko tak, jak spogląda ptak męczony przez złośliwe dziecko. Szła oto przed siebie — wiatr gnał ją — pot ciekł jej z czoła i cała rzecz. Czasem jednak, gdy dzieciak, który był chory, otwierał usta i poczynał oddychać tak, jakby zaraz miał skonać, wołała na niego: „Jaśku! Jasieńku mój serdeczny!" i przyciskała macierzyńskie usta do rozpalonego czoła dzieciny. — Minęła wreszcie poreformacki kościół i wyszła daleko w pole, aż nagle zatrzymała się, bo naprzeciw niej szedł pijany chłop.

Chmury waliły się na niebie coraz gęstsze, a w nich gotowało się coś jakby burza; od czasu do czasu błyskało; ale chłop nie pytał — rozpuścił na wiatr poły sukmany, przekrzywił czapkę na ucho i taczając się to w prawo, to w lewo, śpiewał:

„Poszła Doda
„Do ogroda
„Pasternaku kupać,
„A ja Dodę
„Kijem w nogę
„Doda uciekać!
Uu — uu!

Ujrzawszy Rzepową, stanął, rozłożył ręce i wykrzyknął:

„Oj! pójdziewa w żyto,
„Boś dobra kobieto.

I chciał ją złapać w pół, ale Rzepowa zląkłszy się o dziecko i o siebie, uskoczyła w bok; chłop za nią — ale, że był pijany, więc się przewrócił. Zerwał się wprawdzie zaraz, nie gonił jej jednak, tylko porwawszy kamień rzucił za nią, że aż zawarczało powietrze.

Rzepowa poczuła ból w głowie i zamroczyło ją zaraz, to też przyklękła. Lecz pomyślała sobie tylko jedno słowo: „dziecko!" i poczęła uciekać dalej. Zatrzymała się dopiero pod krzyżem, a obejrzawszy się spostrzegła, że chłop był już z jakie pół wiorsty i taczając się szedł do miasta.

W tej chwili jednak uczuła jakieś dziwne ciepło na szyi; pomacała ręką, a potem, spojrzawszy na palce, spostrzegła krew.

Pociemniało jej w oczach i odeszła od przytomności.

Zbudziła się oparta plecami o krzyż. Z daleka nadjeżdżał kabrjolet z Ościeszyna, a w nim młody pan Ościeszyński, z guwernantką ze dworu.

Pan Ościeszyński Rzepowej nie znał, ale ona go znała z kościoła; myślała więc lecieć do kabrjoletu i prosić na miłosierdzie Boskie, żeby choć dziecko przed burzą zabrali; podniosła się nawet na nogi, ale nie mogła iść.

Tymczasem młody pan nadjechał i ujrzawszy nieznajomą kobietę, stojącą pod krzyżem, zawołał:

— Kobieto! kobieto! siadajcie.

— Niech panu Bóg...

— Ale na ziemi, na ziemi.

O! było figlarz znany w całej okolicy ten młody pan Ościeszyński, więc on tak zaczepiał wszystkich po drodze, a tak samo też zażartował i z Rzepowej, a potem zaraz ruszył dalej. Do uszu Rzepowej doszły śmiechy, jego i guwernantki; potem zobaczyła, jak się zaczęli całować i znikli wraz z kabrjoletem w ciemnej dali.

Rzepowa została sama. — Ale nie darmo to mówią: „Baby i ropuchy, nawet siekierą nie zabijesz!" Po godzinie jakiej zwlokła się znowu, choć nogi gięły się pod nią, poszła dalej.

— Cóż ci ta dziecina winna, ona rybeńka złota — panie Boże! — powtarzała, tuląc do piersi chorego Jaśka.

A potem widać zaraz porwała ją gorączka, bo zaczęła mruczeć, jakby pijana:

— W chałupinie pusta kołyseczka, a mój, to ta poszedł na wojenkę z karabinem.

Wiatr zsunął jej czepiec z głowy; śliczne jej włosy rozsypały się po plecach i poczęły furkać w powietrzu. Nagle błysnęło: piorun runął tak blisko, że owionął ją zapach siarki i aż przysiadła. Ale przyprowadziło ją to do przytomności; krzyknęła: „A słowo stało się ciałem!" Spojrzała na niebo, które było wzburzone, niemiłosierne, wściekłe i zaczęła drżącym głosem śpiewać: „Kto się w opiekę!" Jakiś złowrogi miedziany odblask padał z chmur na ziemię. Rzepowa weszła do lasu, ale w lesie było jeszcze ciemniej i straszniej. Od chwili do chwili zrywał się nagle szum, jakby przerażone chojary szeptały do siebie ogromnym szeptem: „Co to będzie! O dla Boga!" Potem znów nastawała cisza. Czasem znów z głębiny leśnej rozlegał się jakiś głos. Rzepową aż ciarki przechodziły, że to może „złe", śmieje się na bajorach, albo może gomon przesunie strasznym korowodem lada chwila. „Byle bez las, byle bez las! — myślała sobie, a tam za lasem zara młyn i chałupa Jagodzińskiego młynarza". Biegła więc ostatkiem sił, chwytając w spieczone usta powietrze; a tymczasem upusty niebieskie otworzyły się nad jej głową; deszcz, pomięszany z gradem lunął jak z cebra; uderzył wiatr z taką siłą, że aż chojary przygięły się do ziemi; las zasnuło mgłą, parą, falami deszczu; drogi ani dojrzeć, a tu drzewa wiją się po ziemi, a skrzypią i szumią; słychać trzask gałęzi — ciemność!

Rzepowa uczuła, że słabnie.

— Ratunku! ludzie! — zawołała słabym głosem, ale tego nikt nie słyszał. Wicher wbił jej nazad głos w gardło i zatamował oddech. Wtedy to zrozumiała, że już dalej nie ujdzie.

Zdjęła z siebie chustę, zdjęła przyjaciółkę, fartuch, rozebrała się prawie do koszuli i okutała dziecko; potem, ujrzawszy w pobliżu brzozę płaczącą, przyczołgała się do niej prawie na czworakach i złożywszy pod gęstwiną dziecko, sama upadła obok niego.

— Boże, przyjm duszę moję! — wyszeptała z cicha.

I zamknęła oczy.

Burza szalała jeszcze przez czas jakiś, nakoniec opadła. Ale zrobiło się już ciemno; przez przerwy chmur poczęły połyskiwać gwiazdy. — Pod brzozą bieliła się nieruchoma ciągle postać Rzepowej.

— Nau! — rozległ się jakiś głos w ciemnościach.

Po chwili zdaleka dał się słyszeć turkot wozu i chlapanie nóg końskich po kałużach.

To Herszek, pachciarz z Wrzeciądzy, sprzedawszy w Osłowicach gęsie, wracał na noc do domu.

Ujrzawszy Rzepową zlazł z woza.

X.

Zwycięztwo genjuszu.

Herszek z Wrzeciądza zabrał był Rzepową z pod brzozy i wiózł ją do Baraniej-Głowy, a po drodze spotkał się z Rzepą, który widząc, że idzie burza, wyjechał z wozem na spotkanie kobiety. Kobieta przeleżała noc i następny dzień, ale drugiego dnia już wstała, bo dzieciak był chory. Przyszły kumy i okadzały go święconemi wiankami, a następnie, stara Cisowa kowalka zażegnywała chorobę z sitem w ręku i czarną kurą. Jakoż dzieciakowi zaraz pomogło, ale bieda była coraz większa z samym Rzepą, który zalewał się teraz wódką bez miary i już nie można było dojść z nim do ładu. Dziwna rzecz, kiedy Rzepowa przyszła do przytomności i zaraz spytała o dziecko, on, zamiast okazać jej troskliwość, ozwał się chmurno: „Będziesz ty po miastach latać a dzieciaka licho weźnie. Dałbym ja ci, żebyś ty go była zatraciła!“ Więc dopiero kobieta na taką niewdzięczność uczuła gorycz wielką i głosem prosto z pod serca, w którym był ból niepojęty, chciała mu to wymówić, ale nie mogła więcej powiedzieć, jak tylko krzyknąć: „Wawrzon!“ I spojrzała na niego przez łzy. A chłopa, jakby podrzuciło ze skrzynki, na której siedział. Przez chwilę cicho był, a potem powiada innym już głosem: „Maryśko moja, odpuść ty mi moje słowa, bo widzę, żem cię ukrzywdził!“ To rzekłszy, ryknął wielkim głosem i nuż ją po nogach całować, a ona mu w płaczu wtórowała. Więc czuł, że takiej kobiety nie wart. Ale ta zgoda nie długo trwała. Smutek jątrzący się jako rana, zaczął ich zaraz jątrzyć jedno przeciw drugiemu. Gdy Rzepa przychodził do chałupy, czy to pijany, czy trzeźwy, nie mówił do żony ani słowa, ale siadał na skrzynce i patrzał wilkiem w ziemię. Tak siadywał po całych godzinach, jak skamieniały. Kobieta kręciła się po izbie, pracowała jak i dawniej, ale także milczała. Później, gdy jedno chciało odezwać się do drugiego, już im było jakoś i niesporo. Żyli więc niby w wielkiej urazie, a w chałupie grobowe panowało milczenie. O czemże i mieli mówić, kiedy wiedzieli oboje, że już nie ma żadnej rady i że dola ich już się skończyła. Po kilku dniach poczęły chłopu złe jakieś myśli przychodzić do głowy. Poszedł był do spowiedzi do księdza Czyżyka — ksiądz nie dał mu rozgrzeszenia i kazał przyjść nazajutrz, ale nazajutrz Rzepa, zamiast do kościoła, poszedł do karczmy. Ludzie słyszeli, jak po pijanemu mówił, że kiedy mu Pan Bóg nie chce pomódz, to on duszę djabłu zaprzeda — i poczęli się go wystrzegać. Nad chałupą zawisła jakoby klątwa. Ludzie rozpuścili języki jak dziadowskie bicze i mówili, że wójt z pisarzem dobrze robią, bo taki zbereźnik ściągnie tylko pomstę Bożą na całą Baranią-Głowę. A i na Rzepową poczęły kumoszki niestworzone rzeczy wygadywać.

Zdarzyło się, że u Rzepów wyschła studnia, Rzepowa więc poszła po wodę przed karczmę, a po drodze słyszała, jak chłopaki mówiły między sobą: „Idzie żołnierka!“ A inny chłopak powiada: „Nie żołnierka to, ale djabłowa!“ Kobieta, nie rzekłszy słowa, poszła dalej, ale widziała, jak się przeżegnali. Nabrała wody w konewkę i do domu. A tu przed karczmą stoi Szmul. Gdy ujrzał Rzepową, wydobył zaraz z gęby porcelanową fajkę, co mu na brodzie wisiała i zawołał:

— Rzepowa!

Rzepowa zatrzymała się i pyta: „Czego chcecie?“ — A on: „Byliście u sądu w gminie?“ — „Byłam!“ — „Byliście u księdza?“ — „Byłam“. — „Byliście we dworze?“ — „Byłam“. — „Byliście w powiecie?“ — „Byłam“. — „I nie wskóraliście nic?“ Rzepowa tylko westchnęła, a Szmul znowu: „Ny! jacywyście głupi, to już w całej Baranie,-Głowie nikogo głupszego nie ma! A wam po co tam było iść?“ — „A gdzież miałam iść?“ rzecze kobieta. — „Gdzie? — odparł żyd — a na czem ugoda stoi? na papierze; nie ma papieru — nie ma i ugody; podrzeć papier i basta!“ — „O moiście wy! — rzecze Rzepowa — żeby ja miała ten, dawnobym ja go podarła!“ — „Ba! a to nie wiecie, że papier u pisarza? No... ja wiem co wy Rzepowa dużo u niego możecie wskórać; on sam mi mówił: Niech Rzepowa (powiada) przyjdzie i mnie poprosi, a ja powiada, papier podrę i basta!“

Rzepowa nie odrzekła nic, tylko schwyciła konewkę za ucho i poszła w stronę murowańca, a tymczasem ściemniło się na dworze.

XI.

Skończona niedola.

Na niebie zaszedł już „wóz“, a weszły „kurki“, gdy drzwi skrzypnęły w chacie Rzepów i Rzepowa weszła cicho do izby. — Wszedłszy stanęła jak wryta, bo spodziewała się, że Rzepa jak zwykle będzie spał w karczmie, tymczasem Rzepa siedział na skrzynce pod ścianą, z pięściami wspartemi o kolana i patrzył w ziemię.

Na kominie dogasały węgle.

— Gdzieś była? — spytał ponuro Rzepa.

Zamiast odpowiedzieć, ona padła na ziemię i leżąc przy jego nogach ze szlochaniem i płaczem wielkim, zaczęła wołać:

— Wawrzon! Wawrzon! dla ciebie to ja, dla ciebie! na sromotę się podałam. Oszukał mnie, a potem zwymyślał i wypędził. Wawrzon! ulitujże się choć ty nademną: mój serdeczny! Wawrzon! Wawrzon?

Rzepa wydobył z za skrzyni siekierę.

— Nie — mówił spokójnym głosem — już tobie przyszło na koniec niebogo! Już ty się pożegnaj z tym światem, bo go nie będziesz widzieć. Już ty nie będziesz niebogo w chałupie siedziała, ino będziesz na cmentarzu leżała... już ty...

Dopiero ona spojrzała na niego z przerażeniem.

— Cóże ty chcesz mnie zamordować?

A on:

— No Maryśko! nie trać po próżnicy czasu; przeżegnaj się, a potem będzie koniec, nawet nie poczujesz niebogo.

— Wawrzon i ty naprawdę?...

— Połóż głowę na skrzyni...

— Wawrzon!

— Połóż głowę na skrzyni! — wołał już z pianą na ustach.

— O dla Boga! ratunku! ludzie! ratun...

Rozległo się głuche uderzenie, potem jęk i stuk głowy o podłogę, potem drugie uderzenie — słabszy jęk — potem trzecie uderzenie — czwarte, piąte, szóste. — Na podłogę lunął strumień krwi — węgle na kominie przygasły. Drganie przeszło Rzepową od stóp do głowy, potem trup jej wyprężył się nagle i pozostał nieruchomy,

Wkrótce potem szeroka krwawa łuna rozdarła ciemności: paliły się zabudowania dworskie.

EPILOG.

A teraz powiem wam coś na ucho czytelnicy: Rzepy nie byliby wzięli do wojska. Taka ugoda jaką spisano w karczmie, nie była wystarczającą. — Ale widzicie, chłopi się na takich rzeczach nie znają — inteligencja dzięki neutralności także nie wiele — więc... więc pan Zołzikiewicz, który trochę wiedział o tem, liczył, że w każdym razie sprawa się przewlecze, a strach rzuci kobietę w jego ramiona.

I nie przeliczył się ten wielki człowiek.

Spytacie, co się z nim stało? Cóż się miało stać? Rzepa, podpaliwszy zabudowania dworskie, poszedł było szukać z kolei zemsty i na nim; ale że na okrzyk: „gore!“ zbudziła się już cała wieś, więc Zołzikiewicz ocalał.

I oto piastuje dalej urząd pisarza w Baraniej-Głowie, ale teraz ma nadzieję, że zostanie wybrany sędzią. Skończył właśnie czytać Barbarę Ubryk i spodziewa się także, że panna Jadwiga, uściśnie mu lada dzień rękę pod stołem.

Czy te nadzieje sędziostwa i uścisku się sprawdzą — przyszłość okaże.

MIĘDZY NIEŚMIERTELNYMI.

przez

B. Abakanowicza.

Jednem z najpiękniejszych, najbardziej wspaniałych i imponujących miejsc Paryża, są oba wybrzeża Sekwany, na jednem z których wznosi się Luwr, a na drugiem pałac Instytutu i cały szereg innych publicznych gmachów. Gdy się wejdzie na jeden z mostów łączących oba brzegi z sobą, to ma się widowisko jedyne może w cywilizowanym świecie.

Z tyłu i przodu prąd Sekwany zajęty po brzegach łazienkami, pralniami, a przerzynany środkiem ciągle wymijającemi się parostatkami. Ruch na wodzie nie do opisania. A na brzegach szereg gmachów kamiennych, ciemnych, w charakterystyczno-francuskim stylu. Z jednej strony Luwr, mieszczący cuda sztuki i najcudniejszą Venus milońską, z ruinami Tuilieriów na końcu. Na wyspie w Cité widać dwie poważne wieże kościoła Notre-Dame, na drugim brzegu Instytut, Akademja sztuk pięknych, ruiny pałacu rządowego i wiele innych.

Z innej strony zieleń ogrodu Tujleryjskiego i pól Elizejskich zasłania horyzont, z za którego migają w niektórych miejscach złocone kopułki wież Trocadero i dach pałacu przemysłowego.

Ze stanowiska na moście widać tu szereg miejsc, które stanowiły ważne punkty w rozwoju miasta, Francji i ludzkości całej i tysiące historycznych wspomnień ciśnie się do głowy.

Gmach Instytutu, tego ogniska nauki przez kilka wieków, datuje się od Richelieugo i wzniesionym został w jednej z najbrudniejszych dawniej dzielnic Paryża, na miejscu owej sławnej Tour de Nesle, z której wedle podania Małgorzata miała kochanków swoich, po nocy spędzonej na rozkoszy, wypuszczać nie na wolność, ale na dno Sekwany.

Gmach Instytutu wygląda poważnie i wspaniale. Z ciemnego zczerniałego kamienia, w stylu pełnym prostoty, wygląda jakby jaki kościół, brak tylko na wielkiej środkowej kopule krzyża.

Przez podwórko wchodzi się na pierwsze piętro do sali posiedzeń Akademji nauk, które się odbywają w poniedziałki o godzinie 3 po południu. Są one publiczne i każdy ma prawo być na nich obecnym. Wiedziony ciekawością, zaszedłem raz idąc ku wystawie do gmachu. Miało być właśnie posiedzenie.

Przebiegłem przez schody i wszedłem do wielkiej sali przedsionkowej, zapełnionej jakby jaki gabinet artystyczny popiersiami znakomitych mężów. Cała dawna wielkość Akademji, świetne imiona mężów, którzy zawsze przodowali postępowi nauki, gmach poważny i cichy, wszystko to naprowadzało mi na myśl, iż bądź co bądź, przez kilka wieków ztąd światło prawdziwe rozlewało się po świecie, tu pierwsze zawiązki olbrzymiego rozwoju nauk przyrodniczybh w naszych czasach; tu prace swoje ogłaszali Laplace, Buffon, Amperre, Arago, Lavoisier i tylu, tylu innych.

Wiedziałem, że nie ma na świecie miejsca, z któregoby tyle nowych, tyle prawdziwych i tak donioslych rzeczy światu powiedziano.

To też z dziwnem uczuciem poszanowania i pokory otworzyłem drzwi, na których nadpisano: „Institut" i znalazłem się w sali posiedzeń. Były prawie pustki, chociaż kwadrans minął już po trzeciej. Na krześle prezydjalnem siedział słynny Fizeau, a obok niego *Mr. le secrétaire perpétuel* p. Bertrand po lewej, Daubrée po prawej stronie.

Sala jest duża, podłużna, a większą jej część zajmuje stół, ustawiony jakby do jakiego uroczystego obiadu, w dwie podkowy, zestawione swemi końcami. Przed jego zielonem suknem stoją fotele akademickie, na które tak pożądliwem okiem patrzy świat uczony francuski. Dotychczas pusto prawie, jest zaledwie dwóch lub trzech członków, z pomiędzy których bohater tego posiedzenia, hrabia Du-Moncel, słynny elektryk, przyrządza jakieś doświadczenia na stoliku umieszczonym po środku sali.

Na ścianach u góry zawieszone w długim szeregu, zdobiącym całą salę, portrety znakomitych mężów. Goujon, Lavoisier, Voltaire, Rousseau, Buffon, Montesquieu, są nazwiska idące obok siebie, które na podpisach mogłem wyczytać. Niżej, około czterech rogów stoją statui Lafontaina, Poussina, Racina i Pugeta. Pośrodku na przeciw siebie, w linji krzesła prezydjalnego Molièr i Corneill.

Publiczności nie wiele. Mieści się ona tuż po za krzesłami akademickiemi, w ławkach umieszczonych wzdłuż ściany.

Akademicy się jakoś nie zbierają i nareszcie kiedy ich jest zaledwie sześciu, wstaje Fizeau i słowami *Messieurs, la séance est ouverte,* rozpoczyna posiedzenie. Sekretarz Bertrand odczytuje protokuły i puszcza w ruch całą machinę akademicką.

Powoli próżne krzesła się zapełniają i gdy przychodzi do właściwego posiedzenia, są już dość licznie zapełnione. Przeważają naturalnie siwe i łyse głowy, lecz nie ma nic z tej powagi, w którą się zwykle drapują nasze wielkości. Ciągłe szepty i uśmiechy przebiegają salę z końca do końca, publiczność rozmawia z akademikami; posiedzenie obiecuje być wesołem i wszyscy czekają chwili, kiedy p. Du Moncel głos zabierze.

Historja stała się taka: Pan Du Moncel, zwykle wprowadzał na posiedzenie nowe odkrycia i wynalazki, wkraczające w dziedzinę elektryczności i akustyki, miał więc ciągle do czynienia z telefonami i fonografami. Sekcji fizjologicznej, starej szkoły, te nowe i zadziwiające przyrządy nie trafiły jakoś do przekonania, nie wierzyła nawet w ich prawdziwość i na poprzedniem posiedzeniu, nawet jej członkowie, jak pan Bouillaud słynny w swoim czasie fizjolog i Milne-Edwards, którego rekomendować nie potrzebuję, zarzucili, iż kryje się w tych przyrządach jakieś oszustwo, bo według ich teorji, nigdy blaszka mowy ludzkiej powtórzyć nie może. Du Moncel obiecał powtórzyć jeszcze raz doświadczenia i to miało się odbyć właśnie na tem posiedzeniu.

Pierwsze przedmioty, które przyszły na porządek dzienny, minęły bez zwrócenia szczególniejszej uwagi i wszyscy patrzali w stronę Du Moncela, opatrującego swoje instrumenta, eleganckiego człowieka, ubranego nawet na posiedzeniu w jaskrawo-jasny paletot i widocznie sobie mało z otoczenia robiącego, oraz na Bouillauda, głównego przeciwnika, który żółty, suchy na twarzy i ogolony, o trzęsącej się głowie, siedział w aksamitnej czapeczce gdzieś z boku. Nie widziałem nigdy poważniejszej twarzy. Nawet nasi panowie akademicy tak przerażająco poważnie nie wyglądają.

Wszystkich uwaga została wytężoną, gdy dano głos Du Moncelowi i gdy on, po niektórych innych doświadczeniach przystąpił do pokazywania fonografu. Mały przyrząd, jakby przedrzeźniając się, powtarzał swym metalicznym, poliszynelowym głosem, ale wyraźnie na całą salę, to co mówił doń pierwej Du Moncel.

Genialny przyrząd Edisona wzbudził w sali szmer podziwu.

Bouillaud, poprosiwszy o głos, siedział dalej niewzruszony i poważny, tylko mu głowa silniej się trzęsła i drgały mięśnie na twarzy, aż nareszcie gdy przyszła kolej na niego, zaczął dziwne i dziwaczne wywody przeciw fonografowi. Zaczął od tego, iż uznaje te doświadczenia jako interesujące zabawki naukowe, jako ładne widowisko, dodając, że pod tem kryje się coś zupełnie nienaturalnego. Przytacza przytem ni w pięć ni w dziewięć, zdanie Descarta, że człowiek nigdy nie zdoła zbudować machiny, któraby odpowiadała na pytanie, jak gdyby ktokolwiek o tem wątpił, albo jakby fonograf miał pretensję odpowiadania na pytanie. Śmiech ogólny przyjął te wywody i Milne-Edwards, który na poprzedniem posiedzeniu atakował wspólnie z Bouillaudem telefony i fonografy, uznał za stosowne, wobec za daleko idącej polemiki Bouillauda, oświadczyć, iż mu nigdy nie chodziło o to, czy fonograf może myśleć czy nie, on twierdzi jednak i teraz jeszcze stanowczo, że bez języka, bez krtani, bez jamy ustnej i strun głosowych słowa nie mogą być wymówione w sposób wyraźny.

Zanosiło się na dalszą polemikę, a może i skandal, bo zaczęto zapalać się w około, więc przystąpiono do dalszych numerów porządku dziennego i dopiero po zamknięciu oficjalnego posiedzenia zajęto się tą sprawą na nowo.

Nie pamiętam w życiu mojem scen zabawniejszych i nigdy może od swego zbudowania sala nie rozlegała się tak homerycznym śmiechem.

Bouillaud żądał przedewszystkiem, żeby nikt nie znajdował się w bliskości fonografu, gdyż podejrzywa, iż jeden z pomocników Du Moncela jest brzuchomówcą.

Na około stolika zrobiła się pustka; został tylko Du Moncel i przy ogólnem zaciekawieniu powiedział kilka słów do fonografu, który je wyraźnie powtórzył.

Bouillaud wtedy deklamując z wielką emfazą, twierdził, iż teraz już wie napewno w czem leży złudzenie, bo widział jak du Moncel w chwili gdy fonograf powtarzał mowę, ruszał ustami, że więc on sam jest brzuchomowcą (śmiech i hałas w sali) i żeby dowieść tego, prosił o jeszcze jedno doświadczenie.

Du Moncel chętnie się zgodził na to; Bouilaud zbliżył się do fonografu i stał patrząc w oczy swego przeciwnika, z którego już się pot lał od zmęczenia.

Nareszcie fonograf miał znowu powtórzyć mowę. Du Moncel kręcił korbą aparatu. Wtenczas Bouillaud rzuca się na niego, chwyta za nos, co go naturalnie przymusza do odskoczenia i fonograf przestaje mówić.

Śmiech w sali był taki, iż sądziłem, że staruszkowie na kawałki się rozpadną.

Wtedy Bouillaud z tryumfującą miną i podniesionym głosem zwracając się do wszystkich powiedział:

— Widzicie, że skoro tylko zatkałem nos hrabiemu du Moncelowi, fonograf przestał gadać.

I staruszek śmiał się dalej i prędzejby umarł, zanimby uwierzył.

Cóż robić z takimi?...

W BAŁKANACH

Opowiadanie z czasów ostatniej wojny wschodniej

KAROLA BRZOZOWSKIEGO.

... Kiedym był pomiędzy Wami, zdało mi się że z niejakiem zajęciem słuchano mojego opowiadania o kraju w którym mieszkam; panie i panienki były mocniej niż kto inny zaciekawione; darujcie więc że przeniesiony myślą pomiędzy Was, wyobrażę sobie, że jestem za okrągłym stolikiem, gdzie przy wielkiej filiżance herbaty, w ciepłym pokoju, mam z jednej strony za sąsiadkę panią z S....., z drugiej panią P. lubiącą podchwycić niewinne słówko i wybuchem śmiechu z djablą satysfakcją nadać mu jakieś dziwne znaczenie, o którem się biednemu mówiącemu nie śniło — naprzeciwko niej mam piękną panią W. (której także strzedz się będę jak mamuni dobrodziejki,) i dwie jeszcze słuchaczki, do których dziwna mnie ciągnie sympatja—kto są te dwie słu-

chaczki? Czy odgadniesz pani?? Mam się więc na baczności przed panią P.... i W...., choć dobrze wiedzą, że wilka z lasu nie można trzeba nigdy wywoływać, bo zamiast niego można lwa między arabki wpędzić — i opowiem paniom moją ostatnią wycieczką ze Stambułu w okolice zwracające dziś na siebie oczy całej Europy.

Dla mnie nie masz piękniejszego miasta na świecie nad Konstantynopol, widziany z morza lub z jakiej góry panującej nad nim; ale też za to, nie znam dla siebie na całej kuli ziemskiej nudniejszego — gdy mi więc teraz dłużej w tem cudownie pięknem na zewnątrz mieście wypadło posiedzieć, począłem strasznie się nudzić. Myśliłem, ża rozerwę się nieco świętem bajramu, aż tu w pierwszy jego dzień, wszystkie zdaje się chmury z całego świata Ałłach spędził nad stolicę Padyszacha, czarnemi grubemi tumanami upiętrzył jedne nad drugiemi, potrząsnął niemi i poczęły spadać z nich nie krople gęstego deszczu ale sznury wody. Z początku bawił mnie widok Greczynek podchwyconych ulewą na ulicy. Wyobraźcie je sobie w bucikach na tych nowomodnych wysokich korkach, pchane wiatrem z tyłu, z przodu, z boku; na bruku wyślizganym, zdradliwym jak lód; biczowane niemiłosiernie deszczem, któremu mało było bębnić po parasolach, co chwila trzaskał po gorsetach i dobywał z nich jakiś suchy puk, jak uderzenie pręta po desce, z taką mistrzowską szybkością i odznaczaniem każdej nuty, że zdało mi się że po tych kirysach, gorsetach, w jakiejś piekielnej galopadzie Liszt rozpuścił swoje palce. Biedne córy Aspazji broniły się chwilę z rozpaczą; broniły wszystkiego, najdłużej ogonów — nareszcie i te wypuściły z rąk! Oh, panie moje! nie życzę wam, abyście o praktyczności dzisiejszego waszego stroju kiedy w podobny sposób miały się przekonać, ale radbym był, żebyście ze mną podziwiać mogły *złośliwość przypadków*. Pani P. i pani W.... zaostrzyły uszka, gotowe mnie uszczypnąć — szczęściem mam się na ostrożności i w połowie obrazku urywam moje opowiadanie.

Z resztą ta scena nie mogła trwać długo; aktorowie i aktorki poznikały chowając się jak kto mógł, po sklepikach, kramach, kościołach, zdobywano szturmem każdy kącik — widziałem biednego jakiegoś chudego kawalera spłaszczonego w sieni pomiędzy dwiema poważnej otyłości damami; z rozpaczą patrzył zastraszonemi oczami nad ponsową twarz wysadzonemi; patrzył w górę, bo inaczej patrzyć nie mógł; nie widział oblicza tych beczek z ciała; którym w ścisku pękać poczęły różne obręcze; nie widział jakie hieroglify wypisywał na tych obliczach złośliwy deszcz; jak zmięszawszy dowcipnie heban z różem i bielidłem i rozpuściwszy go jak najwprawniejszy rozcieracz farb, malował w morowe chmurki wszystko, nie przebaczając niczemu.

Na nieszczęście tej spłaszczonej grupy, nie wiem zkąd wypadł kudłaty gryfon z małym, czarnym, spiczastym noskiem i złośliwemi, okrągłemi jak sarnki oczkami i szczekając przeraźliwie, niemiłosiernie szarpał za ogon raz tę, znów tamtą opasłą panię, a wnosząc z kwiczolego ich krzyku, musiał dobierać się i do nóg; oh, jeśli gryzł, to miał co!

Byłem i ja zachwycony przez ulewę, ale nie mając jak Greczynki ogona, nie umalowany jak one, nie używający parasola gdy w dwie minuty przemokłem do kości, nie miałem nic do stracenia, a znając się z ulewami, które nigdy o kaszel lub katar przyprawić mnie nie mogą, spokojnie tu i owdzie przystanąwszy, przyglądałem się różnym scenom a między innemi i tej z żywą ciekawością, jak się zakończy!

Chudy kawaler karmazyniał coraz mocniej; nagle wypadł z sieni jak ziarnko cytryny z pomiędzy dwóch je ściskających palców. Uf!!! aż mi się lżej za niego zrobiło — ale gdzie tam! dalekim był nieborak końca nieprzyjemnych przygód: przed nim wyskoczył jego kapelusz, porwał go prąd wody i powirował z nim po spadzie ulicy w łoże rzeki przemienionym; mniejsza o kapelusz; jeden guzik jego kamizelki zagmatwał się w szynion prawej sąsiadki, drugi złośliwszy uczepił się jakiejś części toalety lewej sąsiadki, której jako nie znający się na strojach nazwać nie umiem — dosyć, że mój biedny chudy kawaler zdarł prawej sąsiadce piętrową perukę, która rozczochrana zakołysała mu się na piersiach, porozdzierawszy stanik i podstanik lewej sąsiadki uczuł się sam uwiązany na jakiejś niesłychanie silnej tasiemce i powlókł jej właścicielkę na próg mimo całego ciężaru jej massy, wśród najzapalczywszych naszczekiwań gryfona i ataków do ogona i nóg.....

Ciekawość, przekonałem się podczas tej ulewy, dającej mi tak szerokie pole do postrzeżeń dla znudzonego człowieka, jest nieocenionym darem. Mówią, że ciekawość jest właściwością płci pięknej — gdyby tak być miało, nie miałbym prawa liczyć się do brzydkiej, bo przyznam się, bardzo jestem ciekawym i do tego upartym. Otóż gdy i w drugi dzień bajramu deszcz nie przestawał i nikogo do zbierania zeń obrazków nie było na ulicy, wzięła mnie ciekawość z nudów zobaczyć, czy ta ulewa jest w drugiej stolicy padyszacha, w Adrianopolu. Do samego wieczora coś mi w ucho ciągle szeptało: „zobacz i zobacz!" Przed wschodem słońca nazajutrz ubrawszy się w grube, długie buty, zarzuciwszy na ramię płaszcz z bułgarskiego samodziału, udałem się wprost do dworca kolei żelaznej, deszcz padał ciągle, ha! zobaczę czy i w Adrianopolu leje? Gdy zaświstała lokomotywa siedziałem pomiędzy kilku tureckimi oficerami, nie wiedząc gdzie znaleść miejsce dla nóg pomiędzy massą różnych tobołków.

Zwrócił moją uwagę młody Kurd cywilny, nad siedzeniem którego w siatce leżał Winczester, trzy rewolwery z dwiema ładownicami. Na nieszczęście moje zaczepiłem go, sądząc po wyrazie twarzy, że dosyć musi być inteligentnym; *na nieszczęście moje* — bo przeciw mojej ciekawości stanęła druga tak straszna, tak nieubłagana, sypiąca na mnie gradem pytań; odpowiadałem z początku, broniłem się jak mogłem, a w końcu począłem udawać śpiącego. Manewr ten nie na długo mnie wybawił; mój Kurd z wielką uprzejmością pociągnąwszy mnie za rękaw zapytał uśmiechnięty: „czy spisz effendim? przez Ałłacha nie śpij, bo mi się nudzi;" spojrzałem na niego, zdaje mi się dość surowo — podsunął mi za to złotą tabakierkę i zmusił naglącemi prośbami do szczypty tabaki, zdolnej zatrząść najwytrawniejszym nosem starego bernardyna. „Czy u was w Frengistanie zażywają tabakę?" Zażywają, ale nie tabakę, ta tylko dla młodych panienek służy — „Cóż więc zażywają effendim?" Ciemierzycę. — „Ciemierzycę!? a czy bardzo kichają? Stosownie do nosa, ludzie z małym nosem prawie nic, z największym dwa lub trzy razy, jak ja po twojej tabace. — „Adżaib! (to dziwna rzecz) czy liście suszą się i przyprawiają jak tytuniowe?" — Liści się nie używa, tylko korzeń — „Aman! a dżaib! a to mocne nosy!" — Pewno że mocniejsze od waszych i z dalej wietrzą a szczególniej Moskala. — Szarpnął się mój Kurd i rzekł mi z dumą: Kurd nie potrzebuje nosa, ale oka aby zobaczył, dobrze wypalił i zabił! Począłem znowu nibyto drzemać, i znowu najgrzeczniejsze zapytanie: „czy śpisz effendim? nie śpij! mów co, bo się nudzę." — Nie spałem całą noc, będę spał, odrzekłem stanowczo zamykając oczy, ale gdzie tam! Kurd zagrzechotał potrząsnąwszy torebką podróżną i wpakował mi gwałtem w rękę z tuzin orzechów: „gryź, gryź effendim, to ci sen przejdzie; a może jeszcze tabaki? A gdzie ty jedziesz effendi, bo ja do Adrjanopola?" — Ja do Jarimburgas.— I! to niedaleko, to nie warto spać? gryź, gryź, dobre orzechy." Pierwszy orzech który zgryzłem był robaczliwy, obsypał mi język stęchłym prochem. „Zarar jok, zarar jok! nic, nic nie szkodzi! wypluj! a czy u was są także orzechy?" Są. — „Czy na drzewach rosną?" Rosną i na drzewach, ale te nie dobre. — „A jakie, dobre?" — Siane w polu. — Czy długo rosną?" — Trzy miesiące. — „Adżaib! a jakże się sieją?" Naprzód gęsto, potem się je rozsadza, kwitną jak mak, a potem mają makówkę tak wielką jak dynia, a w niej dwieście do trzysta orzechów. — Adżaib, a czy nigdy nie robaczeją?" Połowa robaczeje i dosyć prędko. — „A dla czego się skrzywiłeś na ten jeden robaczliwy? powinienbyś się był do tego przyzwyczaić." U nas nikomu nie zabłądzą robaczliwe orzechy do gęby, bo jak się idzie je kupować, bierze się zawsze ze sobą oswojoną wiewiórkę, co je przebiera, a ona zna się dobrze na tym towarze. — „Ałłach, Ałłach, to prawda! jak te frenki z wszystkiego umieją korzystać!"

Rozumiecie drogie Panie, z jaką niecierpliwością czekałem stacji Jarimburgas, żeby się wyrwać i dawszy bakszisz konduktorowi uciec do innego wagonu; na dobitek sąsiedzi oficerowie dotąd cicho siedzący, okłębiwszy się chmurą cygaretowego dymu, którego na żaden sposób wypuścić nie było można, bo okna, zdaje się zapomniały, że są do otwierania i chyba wybite wpuściłyby nieco powietrza, poczęli wyśpiewywać dzikie swoje melodje.

Żebyż przynajmniej w dymie tym jedno złe wybawiało mnie od drugiego! i to nie! głos mego ciekawca zapanował nad chórem i wpadło mi w ucho zapytanie: „A czy u was śpiewają?" Zatrzymała się lokomotywa w chwili gdym miał odpowiedzieć: śpiewają ale uszami! Drzwiczki się otworzyły i z kłębem wyrywającego się dymu wypadłem z wagonu szukając konduktora.

Dzięki małemu podarunkowi znalazłem się sam jeden i wyciągnąwszy się swobodnie, na prawdę zasnąłem — przespałem dwie stacje i pewnobym dłużej pozostał pod władzą Morfeusza, gdyby huk czegoś spadłego na podłogę nagle mnie nie zbudził; podnoszę głowę i z przerażeniem widzę głowę i podnoszącą go rękę mojego — Kurda! Zaczęły się sypać pytania; o nieszczęśliwa moja godzino!!! Z rozpaczy wpadłem na myśl użycia tej samej broni i zagadnąłem „Winczester i te trzy rewolwery twoje?" — Moje patrzaj, — mam jeszcze jeden za pasem, a drugi malutki w kieszeni. — „Czy one z drzewa?" „Jakto z drzewa?" — „To muszą być tak lekkie jak z drzewa i wiatrem się z nich strzela? „Prochem i kulami!" „Adżaib! — odrzekłem — Czemu adżaib? — Czy to wszystko nosisz sam?" Sam— „Sam? pokaż mi jeden—prawda, z żelaza i ciężki jak ty możesz sam to wszystko udźwigać?" Na to podniósłszy się na wpół siedzenia i wysunąwszy naprzód piersi, zapytał mnie Kurd: „Czy

ogon cięży baranowi? (barany tutejsze mają ogromne, płaskie, tłuste ogony) dla czego nie cięży, czy wiesz? a! nie wiesz! oto dlatego, że to jedno z nim ciało. Tak i ja ten karabin, te rewolwery i ładunki, to jak u barana nie odstępny ogon i nie ciążą mi". — Gotował się już Kurd na jakieś zapytanie, uprzedziłem go mojem i w połowie jego odpowiedzi, rzekłem grzecznie: *Keremet effendim* (nie przerywaj pan) i znów nowe zapytanie i znowu grzeczna przerwa odpowiedzi z słówkiem, Keremet effendim. Tym manewrem zbiłem z tropu nieboraka, pomściłem się przyprowadzając go do niecierpliwości, a w końcu i strasznie rozgniewałem. Po *Keremet* rzuciłem mu pytanie: jakim sposobem młode zające przemieniają się w stare lisy w Kurdystanie, a młode lisy w stare zające? — „Jakto się przemieniają?— „Przemieniają się, ciekawy tylko jestem jak? Wiem, że Kurdów zając lis — bo zająca nie jedzą — ale jedzą lisa. „To zazy nie Kurdy!" (pokolenie Kurdów) wrzasnął do żywego tknięty nieborak, wbiwszy we mnie tryskające iskrami oczy.—Umiesz ty czytać po turecku effendim? —rzekłem najspokojniej, przeczytaj mi do kogo są te dwa listy, żebym je sobie à la franko naznaczył.

Rzucił Kurd okiem na malutką pieczątkę koperty, spokorniał, poczęstował mnie tabaką, orzechami, cygaretkiem z wybornego samsuńskiego tytoniu i wciskał mi potem jedno po drugiem z wielkiem uszanowaniem, nie pytając się o nic już wiecej. Odetchnąłem i błogosławiłem tę małą pieczątkę pierścienia, na której Kurd wyczytał imię wielkiego Wezyra. (C. d. n.)

ZA WIELKI TRZEWICZEK.

(Powiastka ze Wschodu.)

Kiedyś, przed laty, na wschodzie, w Bagdacie,
Był szewc; za żonę miał z Allacha daru
Kwiat najpiękniejszy w całym Kalifacie.
Szczęściem, że jaszmak bronił od pożaru
Śmiertelne serca, rzucając zasłonę
Na lic jej krasę, na piersi toczone.

Z więzów jaszmaka czasami uciekły
Włosy jej krucze, jak potok jedwabny,
Lśniąc się i wijąc do kolan jej ciekły,
Broniąc się rączce niezgrabnej, a zgrabnej;
Mignęła czasem z pod szalwałów nóżka,
Taka drobniutka, jak giaurów kopciuszka.

W zachwycie, szewca raz wzięła ochota,
Cud swojej sztuki misterny zbudować,
Godny tej nóżki *dżinów* arcydzieła; *)
I jął w skrytości trzewiczki pracować,
Kwiatki szyć złotem, perłami bogato,
W zimie rozpoczął, ukończył je w lato.

Wszedł do haremu, u stóp swej hurysy
Złożył dar i sam był radością jasny:
„Co mi te perły, te złote narcyzy!
„Trzewik za wielki!!" — „„Chyba że za ciasny!""
„Za ciasny?! ośle!!" i złoty trzewiczek
Mignął, padł głośno na szewca policzek.

Wrzawa się nagle zrobiła w haremie.
„Ciasny!" „za wielki!" dwa tylko wyrazy
Słyszał wciąż sąsiad; potem coś na ziemię
Upadło głucho, potem coś jak razy.
Jak płacz niewieści. Ucichło — z latarnią
Wyszedł szewc z domu i siadł przed kawiarnią.

*) Dżin, duch, czarodziej.

Gdy czoło dymem okłębiał nargili,
Duszę kanunu harmonją napawał,
Ani pomyślił, że hurys w tej chwili
Za miastem drogi już przebiegła kawał;
Pędziła przed się w złocistych trzewiczkach
Po krętych między sadami uliczkach.

Długo tak biegła. Księżyc wstał nad sady
I nieznajome jej oświecił drogi;
I dreszcz nią wstrząsnął, a za dreszczem w ślady
Wszystkie od razu upadły w nią trwogi.
Za nią i przed nią kroki nocnej warty...
Zbawienie chyba w tej bramce otwartej...

Wbiegła do sadu — a sad był przestronny,
Palm niezliczonych przecięty rzędami,
Różą, Arabji jaśminami wonny,
Pusty — a przeto zaludnion duchami...
Chciała wstecz — w ziemię wrastały jej nogi,
Padła na marmur — i usnęła z trwogi.

Zaledwie niebo rumieniec poranny
Oblał od wschodu, wszedł Kalif do sadu;
Z drzew cytrynowych sztucznego nieładu
Do marmurowej zbliżył się fontanny,
Stanął zdumiony i pytał sam siebie:
Czy ta jest z raju, czy on sam już w niebie?

O! była piękna na marmurze śpiąca!
Z jego śniegami jaka cudna sprzeczność,
Ta fala włosa hebanowa, lśniąca;
Te ust korale, co na całą wieczność
Zda się uśmiechów bogate wdziękami;
Te długie rzęsy operlone łzami...

Gdy tak stał Kalif pełen zachwycenia
Ona mężowską, straszną pogoń śniła;
Czuje, jak chwyta za kraj jej odzienia...
Na chwilę sadów ją gęstwa pokryła,
Aż oto w trawie, w kształt długiego węża
Ubrał się, wije... pocięgiel jej męża!

Zrywa się z krzykiem — i pada w ramiona
Kalifa. „Szewcze! powróć do warsztatu!
Nie szukaj darmo gdzie piękna twa żona,
Bo nie dla ciebie woń tego już kwiatu;
I jakiż tobie odkryje śmiertelnik,
Że nim Kalifa ozdobił się *zielnik*.

Choć zielnik-harem Kalifa bogaty,
Ten kwiat zagasił pięknością swą dwieście;
Lecz zagaszone te gwiazdy i kwiaty
Miały i serce i zazdrość niewieście.
A dwiestu zazdrość... Kalifie ty biedny!
Raj w piekło zmienić, o! to dosyć jednej!

Kalifa żony na rozwagi szalki
Wzięły swą sprawę; bo tutaj, broń Boże,
Maluczkie słówko draśniętej rywalki —
W jedwabnym miechu głąb' Tygru za łoże!
Czterysta źrenic więc z drużbą, uśmiechem,
Było miłości Kalifowej echem.

Kalif się cieszył haremu tą zgodą,
Tymczasem myśli pracowało dwieście.
Szukało skrzętnie nad wodą, pod wodą,
Jak państwo wielkie, po siołach, po mieście,
Czy spadła z słońca, czy spadła z księżyca
Między nie, straszna ta współzawodnica.

I chociaż harem miał kraty i wieże,
Pale wysokie i rowy głębokie;
Choć liczny hufiec zdaleka go strzeże,
Mimo rzezańce czarne, bystrookie;
Chociaż tu słowo, nawet i na skrzydle,
Nie wleci nigdy, bo się zwikła w sidle,

Mimo to wszystko dowiedział się harem,
Że ta gadzina co się tu wśliznęła,
Ma szewca męża w mieście za bazarem.
Jakaś raz łódka po Tygrze płynęła,
Tuż przy haremie; z nad balkonu belek
Spadł w nią złocisty, drobny pantofelek.

W tej łódce szewc był. Wypadło mu wiosło;
Nie chciał swym oczom z początku uwierzyć.
„Żony mej trzewik! znam własne rzemiosło."
A po tem począł straszną przepaść mierzyć:
„Harem Kalifa!!... Na brodę proroka!
Pójdę — choć Tygru toń zimna, głęboka."

Wszedł na Kalifa wielkie posłuchanie,
Gdzie sąd na winy, wszystkim sprawiedliwość.
I rzekł odważnie. „Pokrzywdzonych panie!
Straszna na brodę ma spadła zelżywość.
A czy przystało wiernych Kalifowi,
Zagrabiać żonę biednemu szewcowi?"

Na to zuchwalstwo zbladły wszystkie twarze,
I drżący gniewem wezyr się zapłonił;
Już ku szewcowi zbliżyły się straże
I kat miecz jasny z pod szaty odsłonił,
Gdy Kalif rzecze: „Mnie posądzasz czemu?"
— „„Trzewik mej żony mam z twego haremu!"""

„Słuchajcie wszyscy! na słoneczną jasność
Klnę się ja, Kalif, że wam mówię szczerze,
Na skarżącego nie czyhałem własność.
Niechaj mój harem tu się zaraz zbierze,
A wyjdzie cały! biada wam strażnicy,
Jeśli choć jednej braknie odalicy.

Wielkie szeroko otwarto podwoje,
I ot stanęły w komnacie sądowej
Niewiast haremu różnobarwne roje,
Kryte zasłoną, od stopy do głowy.
Kalif spokojnie uśmiechnięty rzecze:
„Do mego tronu zbliż się tu człowiecze!

Wszystkie się tutaj przesuną pochodem,
Poznaj twą żonę. Lecz nie dosyć na tem,
Że ty ją poznasz — bo to nie dowodem,
Że ty biedaku nie jesteś warjatem;
Trzeba, by jeszcze twa żona poznana,
Własnem cię słowem stwierdziła za pana."

Szereg się sunie — duch szewca był w oku.
Patrzył i patrzył, już dumał z żałobą,
Nagle po dziwnym kibici uroku,
Po nóżce cudnej, idącą przed sobą,
Poznał swą hurys: „To jest moja żona!"
Stanęła, wzgardą wzruszyła ramiona.

Szła dalej... Na pierś szewc czoło pochylił:
„Oczy straciłem przechodząc te progi.
(Wzniósł trzewik w górę) jakżem się pomylił!
Co? ten trzewiczek, na wielbłąda nogi!"
W hurysę piorun uderzył: „Padalec!
Wie, że go uszył za długi na palec!"

Zagryzła wargi, zapóźno niestety!
„Weź twoją żonę" — rzekł Kalif szewcowi,
I z cicha szepnął w ucho wezyrowi —
„Niż my obadwa zna lepiej kobiety.
Prawdę tę zapisz dla wiecznej przestrogi:
Nigdy kobiecej nie obrażaj nogi!"

Tripoli, 10, Paźdz. 1879.

Karol Brzozowski.

TEN MAŁY

POWIEŚĆ

ALFONSA DAUDETA

przekład

Wincenty Limanowskiej.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy.)

X.

Irma Borel.

Biała-kukułka otworzyła mu drzwi. Bo czyż potrzebuję mówić, że najuroczyściej postanowiwszy nie iść, w pięć minut potem próżny ten Mały zadzwonił do drzwi Irmy Borel. Ujrzawszy go, szkaradna murzynka wykrzywiła usta uśmiechem, który przypominał ludożercę w dobrym humorze, i czarną swą, błyszczącą ręką dała mu znak, by szedł za nią. Przeszedłszy dwa lub trzy salony bardzo wspaniałe, zatrzymali się przed małemi, tajemniczemi drzwiczkami, z poza których słychać było, przytłumione wprawdzie grubem obiciem, krzyki, łkania, przekleństwa, konwulsyjny śmiech. Murzynka zapukała i, nie czekając na odpowiedź, wprowadziła tego Małego.

Był to bogaty buduar, obity jedwabiem i rzęsiście oświecony. Irma Borel przechadzała się po nim deklamując. Szeroki szlafrok z jasno-niebieskiego jedwabiu, pokryty koronkami, otaczał ją jak obłok. Jeden z rękawów szlafroka wrzucony na plecy, odsłaniał śnieżne ramię niezrównanej piękności, które zamiast sztyletu potrząsało nożem do przerzynania papieru, z perłowej masy. Druga ręka, tonąc w zwojach koronki, trzymała otwartą książkę.

Ten Mały zatrzymał się olśniony. Nigdy jeszcze nie widział nic tak pięknego. Była mniej blada jak wtenczas, kiedy ją spotkał po raz pierwszy. Świeża, trochę różowa, cerą swą przypominała kwiat migdała; przy słabym rumieńcu biała blizna wydawała się jeszcze bielszą. Włosy jej, których za pierwszym razem nie mógł widzieć, upiększały ją bardzo, łagodząc wyraz twarzy trochę dumny, a nawet prawie ostry. Były to włosy blond, blond popielate. I było ich tak wiele; złocista mgła opasywała głowę.

Spostrzegłszy tego Małego, dama nagle przerwała deklamację swą. Rzuciła na kanapę nóż i książkę, ślicznym ruchem osunęła rękaw szlafroka i zbliżyła się do gościa z ręką wyciągniętą po męzku.

— Dzień dobry, sąsiedzie rzekła — z miłym uśmiechem; zastałeś mię wśród szałów tragicznych: uczę się roli Klitemnestry... Ciężkie to, nieprawdaż?

Posadziła go na kanapie obok siebie, i zaczęła się rozmowa.

— Pani zajmuje się sztuką dramatyczną (nie śmiał powiedzieć „moja sąsiadko)".

— Oh! tak, przez fantazję... tak jak zajmowałam się rzeźbą i muzyką. Chociaż zdaje się, że tym razem, rzecz idzie na serjo... Mam wystąpić w teatrze francuskim...

W tej chwili ogromny ptak z żółtym czubem, z wielkim szumem skrzydeł zleciał na fryzowaną głowę tego Małego.

— Nie bój się pan — rzekła dama, śmiejąc się z jego przestraszonej miny, to mój kakatoe... poczciwe stworzenie, które przywiozłam z wysp Markizów.

Wzięła ptaka w ręce, pogładziła go, przemówiła doń dwa lub trzy słowa po hiszpańsku i wniosła go na złocony pręt w drugim końcu salonu... Ten Mały wielkie otwierał oczy. Murzynka, kakatoe, teatr francuski, wyspy Markizy...

— Szczególna kobieta! — mówił do siebie z podziwieniem.

Dama siadła znowu koło niego, i rozmowa potoczyła się dalej. Komedja sielankowa służyła najprzód za główny jej temat. Dama czytała ją i odczytywała po razy kilka od dnia wczorajszego; ustępy z niej umiała na pamięć i deklamowała je z zapałem. Nigdy jeszcze próżność tego Małego nie była na takim balu. Pytano go o wiek jego, o miejsce urodzenia, jak żył, czy bywał w świecie, czy był zakochany... Na wszystkie te pytania ten Mały odpowiadał z największą szczerością, tak że zanim upłynęła godzina czasu, dama z pierwszego piętra znała doskonale Jakóba, historję domu Eyssette i tego biednego ogniska, które dzieci postanowiły sobie odbudować. Naturalnie, że ani słowa nie powiedziano o pannie Pierrotte. Mówiono tylko o pewnej młodej osobie, należącej do wielkiego świata, która umierała z miłości dla tego Małego, i o barbarzyńskim jej ojcu, biedny Pierrotte, który sprzeciwiał się ich miłości.

W czasie tych zwierzeń, ktoś wszedł do salonu. Był to stary rzeźbiarz z białą grzywą, który dawał lekcje damie wówczas, kiedy ta trudniła się jeszcze rzeźbą.

— Założę się — rzekł półgłosem żartobliwie, patrząc na tego Małego, założę się, że jest to wasz neapolitański rybak, poławiający korale.

— Zgadłeś — odpowiedziała śmiejąc się; i zwróciwszy się do rybaka, który zdawał się być bardzo zdziwiony tą nazwą, jaką mu dawano. — Nie pamiętasz pan — rzekła, żeśmy się pewnego rana spotkali... Szedłeś z nagą szyją, z odkrytą piersią, rozwianym włosem i kamiennym dzbankiem w ręku... zdawało mi się, że spotkałam jednego z owych małych poławiaczy koralów w zatoce neapolitańskiej... Wieczorem opowiedziałam to spokojnie przyjaciołom moim; ale nie domyślaliśmy się wcale wówczas, że mały rybak jest wielkim poetą, i że na dnie owego dzbana spoczywała *Komedja sielankowa.*

Można sobie wyobrażać, w jaki zachwyt wprowadzały tego Małego podobne pochwały. Podczas kiedy dziękował za nie ukłonem i skromnie uśmiechał się, Biała-kukułka wprowadzała nowego gościa, którym był sam wielki Bagharat, indyjski poeta restauracji. Baghavat, wszedłszy wprost, przystąpił do damy i podał książkę w zielonej okładce:

— Odnoszę motylów pani — rzekł. Co za śmieszny utwór!...

Zatrzymał się nagle na giest damy. Domyślił się, że autor utworu tego jest obecny i z przymusowym uśmiechem spojrzał w stronę jego. Nastała chwila kłopotliwego milczenia, które szczęśliwie przerwało wejście trzeciej osoby. Był to profesor deklamacji; szkaradny garbusek z twarzą bladą, rudą peruką i zielonymi zębami, co się ohydnie śmiały. Gdyby nie ten garb jego, garbusek byłby podobno najznakomitszym komikiem swego czasu; ale kalectwo to nie dozwalało mu wstępu na scenę; pocieszał się, przygotowując do niej uczniów i obmawiając wszystkich aktorów.

Jak tylko pokazał się, dama zapytała go:

— Widziałeś Izraelitkę? Jakże grała dzisiaj. Izraelitką nazywała wielką tragiczną aktorkę Rachelę, stojącą wówczas u szczytu sławy swej.

— Coraz gorzej gra — rzekł profesor podnosząc ramiona... Dziewczyna ta nic nie ma... Jest to tyka... prawdziwa tyka.

— Prawdziwa tyka — dodała uczennica, a za nią dwaj inni powtórzyli tonem głębokiego przekonania: prawdziwa tyka...

Po chwili proszono damę, by zadeklamowała cokolwiek.

Nie dając się długo prosić, powstała, wzięła w rękę nóż z perłowej masy, odrzuciła rękaw szlafroczka swego i zaczęła deklamować.

Dobrze czy źle? Ten Mały znalazłby się w wielkim kłopocie, gdyby go spytano o to. Olśniony tem pięknem śnieżnem ramieniem, oczarowany tymi złotymi włosami, którymi deklamująca potrząsała z zapałem, patrzał tylko, a nie słuchał. Kiedy dama skończyła, przyklasnął mocniej niż ktokolwiek z obecnych i oświadczył, on także z kolei, że Rachaela była jedynie tyką, prawdziwą tyką.

Przez całą noc śnił o tem śnieżnem ramieniu i o tej złotej mgle. A kiedy dzień nadszedł, i chciał zasiąść do swego warstatu do rymów, zaczarowane ramię jeszcze go ciągnęło za rękaw. Wówczas, nie mogąc tworzyć rymów a nie chcąc wychodzić, zaczął pisać do Jakóba i rozpowiadać mu o damie z pierwszego piętra.

„... Ah! mój przyjacielu, jaka to kobieta! Wie wszystko, wszystko zna. Tworzyła sonaty, malowała obrazy. Na kominku u niej stoi ładna statuetka z glinki, jej własnego wyrobu. Od trzech miesięcy gra trajedją i już daleko lepiej gra ją aniżeli słynna Rachaela. Zdaje się stanowczo, że ta Rachela jest po prostu tyką, nic więcej. Jednem słowem, jest to kobieta, o jakiej nigdy nie marzyłeś nawet. Wszystko widziała, była wszędzie. Mówi ci naprzykład: „Kiedy byłam w Petersburgu..." a po chwili znowu powiada ci, że woli przystań Rio, aniżeli przystań Neapolu. Ma kakatoe, którego sama przywiozła z wysp Markizów; ma murzynkę, którą zabrała z sobą, przejeżdżając przez Port-au-Prince... Ale prawda, znasz ją, tę murzynkę, to sąsiadka nasza Biała-kukułka. Pomimo swojej srogiej miny, Biała-kukułka jest bardzo dobrą dziewczyną, spokojną, życzliwą, nie ciekawą i nie mówiącą nigdy inaczej jak przysłowiami. Kiedy mieszkańcy domu chcą wybadać ją, co do jej pani, czy zamężna, czy istnieje, gdzie jaki pan Borel, czy tak jest bogata, jak o niej mówią, Biała-kukułka na wszystkie te pytania odpowiada w swoim języku, który mianuje francuskim: „Sprawy koźlęcia nie są sprawami barana." Albo: „Trzewikowi tylko wiadomo, czy w pończochach są dziury." Takich odpowiedzi ma zawsze mnóstwo w zapasie, i nigdy ciekawi nie mogą się u niej dopytać niczego... A wiesz też kogo spotkałem u tej pani?... Hindostańskiego poetę z restauracji, samego wielkiego Baghavat'a. Zdaje się być bardzo zakochany w damie tej i na cześć jej układa piękne poemata, w których porównywa ją z kolei do kondora, do lotusa albo do bawołu; ale dama nie wiele sobie robi z tych jego hołdów. Zresztą, musi być do nich przyzwyczajona: wszyscy artyści, którzy bywają u niej, kochają się w niej, a wierzaj mi, że ich jest nie mało i to najznakomitszych.

„Tak jest piękna, tak niezwykle piękna!... Na prawdę, bałbym się o własne serce moje, gdyby to należało jeszcze do mnie. Na szczęście,

mam czarne oczy na obronę moję... Drogie czarne oczy! dzisiejszy wieczór przepędzę z niemi, i przez cały czas będziemy mówili o tobie, moja matko Jakóbie."

Kiedy ten Mały kończył ten list, z lekka zapukano do drzwi jego. Była to Biała-kukułka, która w imieniu pani swojej, zapraszała go do teatru francuskiego, gdzie z loży jej miał słyszeć tykę. Chętnie bardzo byłby przyjął wezwanie to, ale przypomniał sobie, że nie ma fraka i musiał odmówić. To go wprowadziło w bardzo zły humor. „Jakób powinien był kazać mi zrobić frak — mówił do siebie... To koniecznie potrzebne... Kiedy artykuły pojawią się, będę musiał pójść podziękować dziennikarzom... A jakże to zrobić bez fraka?..." Wieczorem poszedł do pasażu Saumon ale to go nie rozweseliło. Sewenolczyk śmiał się nadto głośno; panna Pierrotte była nadto ciemną brunetką. Naprzód oczy czarne uśmiechały się do niego i łagodnie szeptały: „kochaj mnie", w tajemniczym swym języku gwiazd; niewdzięcznik nic słyszeć nie chciał. Po obiedzie, kiedy państwo Lalouette przyszli, ten Mały smutny i gniewny usadowił się w kącie, i podczas kiedy grający obraz powtarzał swoje sztuczki, on wyobrażał sobie Irmę Borel królującą w pięknej loży, widział jej śnieżne ramię, bawiące się wachlarzem, i złotą mgłę iskrzącą się przy światłach sali i mówił do siebie: „Jakżebym się wstydził, gdyby ona mnie tutaj ujrzała!"

Kilka dni minęło bez nowych wypadków. Irma Borel nie dawała znaku życia. Między pierwszem a piątem piątrem stosunki zdawały się być przerwane. Co wieczór ten Mały, siedząc przy swoim warsztacie, słyszał wracający powóz damy i sam nie spostrzegał tego, jak głuchy huk pojazdu i wołanie woźnicy: „proszę drzwi otworzyć" sprawiały mu dreszcz. Nie mógł nawet słyszeć bez wzruszenia, jak murzynka wracała do siebie; gdyby się ośmielił, byłby poszedł do niej i zapytał, co się dzieje u jej pani... Pomimo to wszystko, jednak czarne oczy panowały jeszcze nad sercem jego. Ten Mały przepędzał z niemi długie godziny. Resztę czasu poświęcał na dobieranie rymów, z wielkim podziwem wróbli, które ze wszystkich okolicznych dachów schodziły się popatrzeć na niego, bo wróble kwartału łacińskiego, tak jak dama wielkich zalet, dziwne pojęcia wyrobiły sobie o studenckich mieszkaniach. Przeciwnie, dzwony Saint-Germain — biedne dzwony, poświęcone Panu i na całe życie zamknięte jak mnichy — cieszyły się, widząc jak przyjaciel ich, ten Mały, wiecznie siedzi przy stole swoim, i dla dodania mu zachęty wielki wyprawiały koncert.

Gdy się to dzieje, nadeszły wiadomości od Jakóba. Mieszkał w Nicei i mnóstwo szczegółów podawał o tej nowej siedzibie swojej... „Jaki piękny kraj, mój Danielu, jakie natchnienie wywoływałoby w tobie to morze, które mam pod oknami memi! Co do mnie, nie korzystam z niego wcale; nigdy nie wychodzę... Markiz dyktuje dzień cały. Diabeł, nie człowiek! Czasem między dwoma frazesami podnoszę głowę, spostrzegam mały czerwony żagiel na horyzoncie i co najprędzej znowu spuszczam nos na papier... Panna Hacqueville wciąż chora... Słyszę ją, jak na górze, po nad nami kaszle, kaszle bezustannie... Smutna to strona kraju tego, wszyscy kaszlą... Ja sam, zaledwie tu przybyłem, a już dostałem ogromnego kataru, któremu nie widzę końca..."

Trochę dalej, mówiąc o damie z pierwszego piętra, Jakób pisał:

... Jeżeli chcesz mi wierzyć, to nie idź więcej do tej pani. Jest ona nadto skomplikowana dla ciebie; a nawet chcesz, bym ci powiedział, co o niej myślę? przeczuwam w niej awanturnicę... Wiesz co! widziałem wczoraj w porcie holenderski bryk, który wracał z podróży na około świata; były na nim maszty japońskie, chilijskie i załoga pstrokata jak jaka karta geograficzna... Otóż, mój kochany, znajduję, że twoja Irma Borel podobna jest do tego statku. Dobre to, jeżeli bryk wiele podróżuje, ale kobieta, to zupełnie co innego. W ogóle, te które tyle świata widziały, wodzą innych po rozmaitych światach... Bądź ostrożny, Danielu, bądź ostrożny; a szczególnie, zaklinam cię, niech oczy czarne nie płaczą na ciebie.."

Te ostatnie słowa trafiły wprost do serca tego Małego. Ciągła troska Jakóba o szczęście tej, która nie chciała go kochać, wydała mu się godną podziwienia. „Oh! nie, Jakóbie, nie lękaj się; nie będą płakały z mojego powodu" — rzekł do siebie i natychmiast postanowił mocno nie iść więcej do damy z pierwszego piętra... Już to co się tyczy stałych postanowień, to możecie zaufać temu Małemu.

Kiedy wieczorem pojazd zajechał przed bramę, on nie zwrócił prawie uwagi na to. Śpiew murzynki nie przeszkodził mu też także. Była to noc wrześniowa, ciężka, burzliwa... Ten Mały pracował; drzwi pokoju jego były na wpół przymknięte tylko. Nagle zdawało mu się, że po drewnianych schodach prowadzących do mieszkania jego, idzie ktoś. Słyszy wyraźnie szmer kroków i szelest sukni. Ktoś idzie, to rzecz pewna... ale kto?...

Biała-kukułka oddawna już wróciła do siebie... Może to dama z pierwszego piętra ma coś do powiedzenia murzynce swojej...

Na tę myśl ten Mały czuje jak serce jego zaczyna bić gwałtownie; na tyle jednak ma siły, że nie rusza się od stołu swego... kroki zbliżają się wciąż. Wszedłszy na schody, zatrzymano się... Chwila ciszy nastaje; potem ktoś puka z lekka do drzwi murzynki; ta nie odpowiada.

— To ona, mówi do siebie ten Mały, nie ruszając się z miejsca.

Nagle światłość i zapach rozlały się po pokoju.

Drzwi skrzypnęły, ktoś wszedł.

Ten Mały, nie odwracając głowy, drżąc zapytał:

— Kto tam?

XI.

Cukrowe serce.

Oto dwa miesiące już upłynęło od wyjazdu Jakóba, a jeszcze nie słychać nic o powrocie jego. Panna Hacqeville umarła. Markiz w towarzystwie sekretarza oprowadza żałobę po całych Włoszech, nie przerywając ani na dzień mordującego dyktowania pamiętników swoich. Jakób znużony, zaledwie ma czas skreślić do brata kilka wyrazów z Rzymu, Neapolu, Pizy, Palermo. Ale chociaż pocztowa pieczęć zmienia się często, treść listów jego zawsze pozostaje ta sama... „Czy pracujesz?... Jak się miewają oczy czarne?... Jak idzie sprzedaż?... Czy artykuł Gustawa Planche pojawił się?... Czy byłeś powtórnie u Irmy Borel?... Na te pytania, zawsze jednostajne, ten Mały niezmiennie odpowiada: że pracuje wiele, że sprzedaż książki idzie bardzo dobrze, że oczy czarne dobrze się mają, że nie widział więcej Irmy Borel, ani słyszał o Gustawie Planche.

Jak wiele prawdy było w tych odpowiedziach, dowiemy się z listu, który ten Mały napisał pewnej nocy, kiedy burza szalała na dworze, a on sam w gorączkowem usposobieniu, miotał się wśród czarnych ścian izdebki swojej.

„Pan Jakób Eyssette w Pizie."

„Niedziela wieczór, godzina dziesiąta.

„Jakóbie, skłamałem przed tobą. Od dwóch miesięcy kłamię wciąż. Piszę ci, że pracuję, a od twego wyjazdu kałamarz stoi suchy. Piszę ci, że sprzedaż idzie dobrze, a od dwóch miesięcy nie sprzedano ani jednego egzemplarza. Piszę ci, że nie widuję Irmy Borel, a od dwóch miesięcy wciąż przy niej jestem. Co do oczu czarnych, niestety!... O Jakóbie, Jakóbie, dla czego nie słuchałem ciebie? Dla czego poszedłem do tej kobiety?

„Miałeś słuszność. Jest to awantarnica, nic więcej. Z początku sądziłem, że jest inteligentną przynajmniej. Myliłem się... Wszystko co mówi, jest tylko powtórzeniem tego, co słyszała od kogoś. Nie ma w niej głowy, ani serca. Jest chytrą, cyniczną, złą. Widziałem, jak w przystępie gniewu szpicrózgą biła murzynkę swą, powaliła ją na ziemię i nogami deptała; przytem nie wierzy ani w Boga, ani w szatana, ale bierze na ślepo przepowiednie jasnowidzącej albo wróżbę wyciągniętą z kawianych fusów. Co do jej talentu aktorki dramatycznej, naprożno bierze lekcje od potwornego garbuska, naprożno całe dnie przepędza u siebie z elastycznemi kulami w ustach, jestem przekonany, że żaden teatr nie zechce jej. Ale za to w życiu prywatnem doskonałą jest komedjantką.

„Nia rozumiem wcale, mój dobry Jakóbie, jakim sposobem wpadłem w szpony tej nędznicy, ja, który kocham wszystko co dobre i proste; ale mogę ci przysiądz, że już uwolniłem się od niej i że teraz wszystko skończyło się, skończyło, skończyło... Gdybyś wiedział, jak byłem nikczemny i co ona robiła ze mną!... Opowiedziałem jej całą moją historję; mówiłem jej o tobie, o naszej matce, o czarnych oczach... Powinienbym umrzeć ze wstydu, powiadam ci... Oddałem jej całe serce moje, całe życie; ale ona z życia swego nigdy mi nic nie odkryła... Nie wiem ani kto ona jest, ani zkąd ona jest. Pewnego dnia spytałem ją, czy była kiedy zamężną; na to roześmiała się tylko. Wiesz, ta mała blizna, co ją ma na wargach, to od uderzenia nożem, które dostała tam w swoim kraju na Kubie. Chciałem wiedzieć, kto ją tak uderzył. Odpowiedziała tylko: „Hiszpan jeden, Pachero" i ani słowa więcej. Nieprawdaż, jakie to głupie? Czy ja go znam, tego Pachero? Czy nie powinna była objaśnić mię cokolwiek przynajmniej pod tym względem? Cóż u djabła! Uderzenie nożem to nie jest rzecz naturalna! Ale, że artyści, co ją otaczają, zrobili jej sławę niezwykłej kobiety, chodzi jej zatem o tę nazwę... Oh! ci artyści, mój kochany, jak ja ich nienawidzę. Ludzie ci, żyjąc wciąż z posągami i obrazami, przychodzą wreszcie do tego przekonania, że nic oprócz tego nie ma na świecie... Mówią zawsze tylko o formie, linii, sztuce greckiej, Partenonie, płaszczyźnie i wypukłości. Przypatrują się nosowi twemu, twoim ramionom, brodzie twojej. Szukają w tobie typu, konturu, charakteru; ale to co bije w piersiach naszych, o naszych uczuciach, o łzach naszych, o cierpieniach, troszczą się tyle, co o złamany szeląg. Co do mnie, poczciwcy ci znaleźli, że głowa moja ma wiele cha-

rak teru, ale poezja moja nie ma go wcale. Zachęcili mię do niej bardzo, wierzaj mi!

W początkach stosunku naszego zdawało się jej, że odkryła jakąś nadzwyczajność, wielkiego poetę pod strychem; namordowała mię też ze swym strychem!—Potem, kiedy dwór jej przekonał ją, że byłem tylko głupcem, zatrzymała mię dla charakteru głowy mojej. Trzeba ci wiedzieć, że charakter ten zmieniał się stosownie do ludzi i okoliczności. Jeden z jej malarzy, który upatrzył był we mnie typ włoski, kazał mi pozować na Włocha; drugi na Algierczyka, kupca fijołków; inny znowu... Albo ja wiem? Najczęściej pozowałem u niej i dla przypodobania się jej, musiałem przez dzień cały nosić na ramionach owe świecidełka i gałganki i figurować w salonie w towarzystwie kakatoa. Wiele godzin spędziliśmy tak, ja przebrany za Turka, paląc długie fajki w jednym rogu jej kanapki, a ona w drugim deklamując z elastycznemi kulami w ustach i od czasu do czasu zwracając się do mnie: „Jaką charakterystyczną głowę masz, mój „Dani-dan!" Jeżeli byłem Turkiem, to mię nazywała Dani-dan'em; jeżeli Włochem, to nazywałem się Danielo; nigdy Daniel... Zresztą, mam zaszczyt figurować pod temi dwiema postaciami na przyszłej wystawie malarstwa. Czytać będą w katalogu: „Młody piffarero, pani Irmy Borel". „Młody fellah, pani Irmy Borel". I to będę ja... Co za wstyd!

„Zatrzymuję się na chwilę, Jakóbie. Otworzę okno i odetchnę trochę świeżym powietrzem nocy. Duszno mi... nie widzę nic.

Dziesiąta godzina."

„Powietrze pomogło mi. Mogę pisać dalej, zostawiwszy okno otwarte. Deszcz pada, ciemno, dzwony biją. Jaki smutny ten pokój!... Kochany pokoik! Tak go lubiłem niegdyś; teraz nudzę się tutaj, ona to obrzydziła mi go; nadto często przychodziła tu. Rozumiesz, miała mię tu pod ręką, w domu; to było wygodnie. Oh! nie jest to już pokój do pracy...."

„Byłem czy nie byłem u siebie, wchodziła tu, kiedy jej się podobało; wszystko przewracała. Jednego wieczora zastałem ją przerzucającą wszystko w szufladzie, gdzie zamykam to, co mam najdroższego w świecie: listy matki naszej, twoje, i listy oczu czarnych; te ostatnie w złoconem pudełku, które znasz zapewne. W chwili kiedy wszedłem Irma Borel trzymała pudełko to i miała je właśnie otworzyć. Zaledwie miałem czas rzucić się ku niej i wyrwać je z rąk jej. „Co robisz tutaj?" zawołałem oburzony.... Na to ona przybrała najtragiczniejszą swą minę i odpowiedziała:

— „Nie dotknęłam listów matki twojej; ale te należą do mnie, chcę je mieć.... Oddaj mi to pudełko."

— „Co chcesz zrobić z niemi?"

— „Przeczytać listy, jakie tam są...."

— „Nigdy — odpowiedziałem jej. Nie znam nic z życia twego, a ty znasz moje całe...."

— „Oh! Dani - dan! był to dzień Turka. — Oh! Dani - dani, czy podobna byś mi wymawiał? Czy nie wchodzisz do mnie kiedy tylko zechcesz? Czy nie znasz tych wszystkich, którzy bywają u mnie?..."

Mówiąc tak najpieszczotliwszym swym głosem, jednocześnie próbowała wziąć odemnie pudełko.

— „A więc dobrze — rzekłem — kiedy tak, pozwalam ci otworzyć je, ale pod jednym warunkiem..."

— „Jakim?"

— „Powiesz mi, gdzie udajesz się rano, między ósmą a dziesiątą godziną.

Usłyszawszy te słowa, zbladła i popatrzyła mi wprost w oczy... Nigdy nie mówiłem jej o tem. A jednak nie brakło mi ochoty do tego. Tajemnicze te ranne wycieczki budziły moją ciekawość i niepokoiły jak blizna, jak Pachero i jak cały sposób tego dziwacznego życia. Chciałbym poznać to wszystko, a zarazem bałem się dowiedzieć. Czułem, że kryła się pod tem jakaś haniebna tajemnica, której wykrycie zmusiłoby mię do ucieczki... Tego dnia jednak ośmieliłem się zapytać, jak widzisz. To ją zadziwiło bardzo. Zawahała się przez chwilę; wreszcie, głosem przytłumionym rzekła z wysileniem:

— „Daj mi pudełko, będziesz wiedział o wszystkiem.

„Dałem jej wówczas pudełko; było to nikczemnie, nieprawdaż, Jakóbie? Otworzyła je, drżąc z radości i zaczęła czytać wszystkie listy, było ich ze dwadzieścia; czytała powoli, półgłosem, nie opuszczając ani jednej linji. Ta historja miłości świeżej i czystej zdawała się ją mocno zajmować. Jużem ja jej opowiedział był, ale po mojemu, przedstawiając oczy czarne jako młodą dziewczynę wielkiego rodu, którą rodzice nie chcieli oddać takiemu plebejuszowi jak Daniel Eyssette: poznajesz w tem moją śmieszną próżność...

„Od czasu do czasu przestawała czytać i mówiła: „Patrzcie, to wcale ładne!" albo: „Oh! oh! jak na dobrze urodzoną pannę..." Skończywszy czytać, każdy list z kolei zbliżyła do świecy i ze złośliwym uśmiechem patrzyła jak się palił. Ja nie przeszkadzałem jej; chciałem wiedzieć gdzie była co rano, od ósmej do dziesiątej...

„Otóż, pomiędzy listami tymi, był jeden pisany na papierze domu Pierrotte; były na nim u góry trzy małe talerze zielone, a pod nimi napis: *Porcelana i kryształy, Pierrotte następca Lalouette'a*... Biedne oczy czarne! Zapewne kiedyś, będąc w magazynie, uczuły potrzebę napisania do mnie i pierwszy lepszy papier posłużył im do tego... Możesz sobie wyobrazić jak odkrycie to uszczęśliwiło aktorkę! Dotąd wierzyła opowiadaniu memu o dostojnej pannie i jej rodzicach wielkich panach; ale kiedy znalazła ten list, wówczas zrozumiała wszystko i ogromnym wybuchła śmiechem:

„To ona, ta szlachetna arystokratka, ta perła wielkiego rodu... Nazywa się Pierrotte i sprzedaje porcelanę w pasażu Saumon... Ah! rozumiem teraz, dlaczego nie chciałeś mi oddać pudełka." I śmiała się, śmiała...

„Sam nie wiem, co się stało wówczas ze mną; wstyd, gniew, wściekłość... Straciłem przytomność. Rzuciłem się na nią, chcąc odebrać listy. Ona przestraszyła się, cofnęła w tył i zaplątawszy się w ogon swej sukni, upadła z wielkim krzykiem. Okropna jej murzynka usłyszała to ze swego pokoiku i natychmiast przybiegła naga, czarna, obrzydliwa. Chciałem przeszkodzić jej wejść, ale jedną swą ręką, ręką ogromną, tłustą odrzuciła mię do ściany i stanęła między swą panią a mną.

„Tamta tymczasem wstała i płakała, albo udawała że płacze. Ale pomimo to szperała dalej w pudełku: „Nie wiesz, mówiła do swej murzynki, nie wiesz dlaczego chciał mię bić?... Dla tego, że odkryłam, iż jego panna nie należy wcale do szlachetnego rodu i że sprzedaje talerze w pasażu..."

„— Nie wszystko złoto, co się świeci", — rzekła stara w formie sentencji.

„— Patrz — mówiła aktorka — patrz jakie dary miłości składa mu jego kupcówna. Cztery włosy z warkocza swego i bukiecik fiołków za susa... Zbliż twoją lampę Biała-Kukułko.

„Murzynka przysunęła lampę; włosy i kwiaty sycząc zajęły się płomieniem. Nieruchomie patrzyłem na to, byłem w osłupieniu.

— „Oho! co to jest? — mówiła dalej aktorka, odwijając jedwabny papier... Ząb?... Nie! to coś jak gdyby z cukru... A naprawdę tak... alegoryczny cukierek... serduszko z cukru.

„Niestety, pewnego dnia na jarmarku Prés-Saint-Gervais, oczy czarne kupiły to cukrowe serduszko i oddały mi je, mówiąc.

— „Daję ci serce moje.

„Murzynka spoglądała na cukierek pożądliwem okiem.

— „Chcesz go, Kukułko — zawołała jej pani... No! to łap...

„I rzuciła jej do gęby jak psu... Śmieszne to może, ale zadrżałem od stóp do głowy, usłyszawszy, jak murzynka chrupie cukier. Zdawało mi się, że potwór ten o białych zębach tak radośnie pożera prawdziwe serce czarnych oczu.

„Sądzisz może, mój biedny Jakóbie, że po tem co zaszło, wszystko skończyło się pomiędzy nami. Otóż, mój kochany, gdybyś nazajutrz po tej scenie wszedł był do Irmy Borel, zastałbyś ją powtarzającą rolę Hermiony przed swym garbusem, a w kącie, obok kakatoe. skulonego na macie młodego Turka z ogromną fajką, która trzy razy obwijała się koło ciała jego... Jaką charakterystyczną głowę masz, mój Dani-dan!

„Ale przynajmniej, zapytasz, w zamian za twoją nikczemność, czy dowiedziałeś się, co chciałeś wiedzieć, co ona robiła co rano, od ósmej do dziesiątej? Tak, Jakóbie, dowiedziałem się, ale dzisiaj dopiero, po strasznej scenie, ostatniej, naturalnie! którą ci opowiem... Ale cyt!... ktoś idzie po schodach... Gdyby to była ona, gdyby ona znowu ujarzmić mię chciała... Bo ona zdolna do tego, nawet po tem wszystkiem co zaszło. Zaczekaj!... Zamknę drzwi na dwa spusty... Nie wejdzie, nie lękaj się...

„Nie powinna tu wejść.

Północ.

„To nie ona; to jej murzynka. To też zdziwiłem się był; nie słyszałem wracającego powozu... Biała-kukułka udała się na spoczynek. Słyszę przez ściankę przelewanie się wódki w butelce i okropną zwrotkę *tolocototignau*... Teraz chrapie; pomyślałby kto, że to wahadło od wielkiego zegara.

„Oto jak skończyła się smutna miłość nasza:

„Trzy tygodnie temu prawie, garbus, który daje jej lekcje, oświadczył, że uważa ją za zupełnie przygotowaną do wielkich ról tragicznych i że chce, by dała się słyszeć wraz z kilku innemi uczennicami jego.

Aktorka moja nie posiadała się z radości... Ponieważ nie można było znaleść teatru na zawołanie, stanęło więc na tem, że w pracowni jednego z tych panów urządzi się sala teatralna, i że do wszystkich dyrektorów teatru w Paryżu rozeszlą się zaproszenia... Co do sztuki, którą miano odegrać, długie były spory, wreszcie wybór padł na *Atalię*.. Uczniowie garbusa najlepiej grali tę sztukę z całego repertuaru. Do ostatecznego jej wykończenia potrzeba było kilka razy powtórzyć ją i wspólnie wygładzić. A zatem nich będzie i *Atalia!*... Ponieważ Irma Borel za wielką jest panią, by miała się trudzić sama do kogoś, wszystkie więc próby te u niej się

odbyły. Codziennie garbus przyprowadzał uczniów swoich; cztery czy pięć dziewcząt chudych, wysokich, uroczystych, postrojonych w kaszemiry francuskie po trzynaście franków pięćdziesiąt, i trzech lub czterech biedaków we frakach z poczernionego papieru i z minami rozbitków... Próby odbywały się dzień cały, wyjąwszy od ósmej do dziesiątej; bo pomimo przygotowań do widowiska, tajemnicze wycieczki nie ustały. Irma, garbus, uczniowie, wszyscy wściekle pracowali. Przez dwa dni zapomniano dać jeść kakatoe. Co do młodego Dani-dan, przestano się nim zajmować... W ogóle wszystko szło dobrze; pracownia przyozdobiona, teatr urządzony, kostiumy gotowe, zaproszenia rozesłane; wtem na trzy lub cztery dni przed przedstawieniem, młody Eliachim, dziewczynka lat dziesięciu, siostrzenica garbusa, zachorowała... Co począć? Gdzie znaleść Eliachima, dziecko zdolne do wyuczenia się roli swej w przeciągu trzech dni?... Wszyscy byli pomięszani. Nagle Irma Borel zwraca się do mnie: „A gdybyś ty, Dani-dan, podjął się tej roli."

— „Ja? Żartujesz... W moim wieku...

— „Ktoby powiedział, że to mężczyzna.. Ależ, mój mały, wyglądasz na lat piętnaście; na scenie, w kostiumie, ucharakteryzowany, będziesz wyglądał na lat dwanaście... Zresztą, rola ta zupełnie odpowiada charakterowi głowy twojej.

„Mój drogi przyjacielu, napróżno sprzeciwiałem się. Jak zawsze, musiałem zrobić to, czego ona chciała. Tak słaby jestem...

„Przedstawienie miało miejsce... Ah! gdybym mógł zdobyć się na humor do śmiechu, jakże ubawiłbym się opisem dnia tego... Rachowano na dyrektorów Gymnase i teatru francuskiego, ale panowie ci mieli zapewne co innego do roboty, i musieliśmy zadowolnić się dyrektorem jakiegoś zamiastowego teatru; w ostatniej dopiero chwili sprowadzono go. W ogóle, małe to widowisko familijne powiodło się dosyć... Irmę Borel osypano oklaskami... Mnie zaś Atalia ta z Kuby wydała się nadto napuszoną, brakło jej wyrazu, i mówiła po francusku jak... piegża hiszpańska; ale ba! przyjaciele jej artyści nie wglądali w takie drobnostki. Kostium był autentyczny, nóżka zgrabna, figurka ładna... Oto wszystko, czego im trzeba było. Co do mnie, charakter głowy mojej zjednał mi wielkie powodzenie, mniejsze jednak od tego, jakie spotkało Białąkukułkę w niemej roli mamki. Prawda, że głowa murzynki więcej jeszcze niż moja ma charakteru. To też kiedy w piątym akcie ukazała się na scenie trzymając na ręku ogromnego kakatoe, — jej Turek, jej murzynka, jej kakatoe — aktorka chciała, żebyśmy wszyscy wystąpili w sztuce — i z miną zdziwioną przewracała ogromnemi białemi oczyma z wyrazem srogości, cała sala zatrzęsła się od oklasków. „Jakie powodzenie!" — mówiła jaśniejąca radością Atalia...

„Jakóbie!... Słyszę wracający pojazd jej. Oh! nędznica! Zkąd ona wraca tak późno? Zapomniała już o dzisiejszym strasznym poranku naszym; a ja drżę cały jeszcze na jego wspomnienie!

„Drzwi zamknęły się. Gdybyż tylko nie przyszła teraz! Żebyś wiedział, jak to straszne mieć tak blizko siebie kobietę, którą się nienawidzi!

Pierwsza godzina.

„Przedstawienie, które ci opisałem, miało miejsce przed trzema dniami.

„Przez te dni trzy była wesoła, łagodna, przyjazna miła. Ani razu nie wybiła murzynki swojej. Kilkakrotnie zapytywała mię o ciebie, czy zawsze kaszlesz; a jednak, Bogu wiadomo, jak bardzo nie lubi cię... Powinienem był domyślać się czegoś.

„Dzisaj rano wchodzi do mego pokoju o godzinie dziewiątej. Godzina dziewiąta!... Nigdy nie widziałem jej o tej porze!... Zbliża się do mnie i powiada uśmiechając: „Godzina dziewiąta!"

Potem, uroczystym tonem mówi dalej: „Mój przyjacielu, oszukiwałam cię. Kiedyśmy się spotkali, nie byłam już wolna. W życiu mojem, ktoreś ty dzielić zaczął, był już mężczyzna; mężczyzna, któremu zawdzięczam zbytek otaczający mię swobodą, której używam, jednem słowem wszystko co posiadam."

„Mówiłem ci, Jakóbie, że pod tajemnicą tą kryło się coś haniebnego.

„... Od chwili, kiedy cię poznałam, związek ten stał mi się obmierzłym... Nie mówiłam ci nic o tem, bo znając dumę twoją, wiedziałam, że nie zechcesz dzielić mię z kimś innym. Jeżeli zaś nie zrywałam tego stosunku, to jedynie dla tego, że nie miałam odwagi zrzec się życia zbytkowego i leniwego, do jakiego jestem stworzona... Dzisiaj, nie mogę wytrwać w tem dalej... Kłamstwo to cięży mi, ciągłe to zdradzanie przyprowadza mię do szaleństwa... I jeżeli po tem, com ci teraz wyznała, chcesz mię jeszcze, to gotowa jestem wszystko rzucić i żyć z tobą w kątku jakim, gdzie zechcesz..."

„Te ostatnie słowa „gdzie zechcesz" — wymówiła po cichu i tak blizko mnie, że prawie na mych ustach; chciała mię upoić...

„Zdobyłem się jednak na odwagę i odpowiedziałem jej, nawet bardzo sucho, że jestem ubogi, że nie sam utrzymuję siebie, i że niepodobieństwem jest, by Jakób pracował i na nią także.

„Na tę odpowiedź moją podniosła głowę z tryumfującą miną:

— „A cóżbyś powiedział na to, gdybym znalazła uczciwy i pewny sposób dla nas obojga, zarabiania na wspólne życie; cóżbyś powiedział?

„To mówiąc wyciągnęła z kieszeni swej ostęplowany papier jakiś, z którego, zaczęła mi czytać... Była to umowa dla nas obojga z jednym z teatrów zamiastowych; dla niej za opłatą stu franków miesięcznie, dla mnie za pięćdziesiąt. Wszystko było gotowe; pozostawało tylko podpisać.

Patrzyłem na nią z przestrachem. Czułem, że ciągnie mię w przepaść i bałem się, że nie będę miał dość siły oprzeć się jej... Przeczytawszy tę swoję bazgraninę, nie dając mi czasu na odpowiedź — zaczęła gorączkowo prawić o blasku teatralnej karjery i o życiu sławy, jakie mielibyśmy pędzić tam, wolni, dumni, zdala od świata, oddani tylko sztuce i miłości naszej.

„Za wiele mówiła; to był błąd. Miałem czas oprzytomnieć i z głębi serca wezwać na pomoc moją matkę Jakóba; kiedy skończyła tyradę swoją, mogłem odpowiedzieć jej bardzo zimno.

— „Nie chcę być aktorem...

„Naturalnie, że ona nie dała za wygranę i na nowo rozpoczęła piękne swe frazesy i dowodzenia.

„Ale napróżno... Na wszystko co mi mówiła, odpowiadałem zawsze jedno:

— „Nie chcę być aktorem...

„Zaczynała tracić cierpliwość.

— „A zatem — rzekła wreszcie bledniejąc — wolisz bym wróciła tam, od ósmej do dziesiątej, i żeby rzeczy pozostały tak jak są...

„Na to odpowiedziałem trochę mniej zimno: Nie wolę nic... Znajduję, że jest to bardzo uczciwie z twej strony, że chcesz pracować na utrzymanie swoje. nie zaś zawdzięczać je hojności tego pana od ósmej do dziesiątej... Powtarzam ci tylko, że nie czuję w sobie najmniejszego powołania do teatru, i że nie będę aktorem."

„Na to ona wybuchła.

— „Ah! nie chcesz być aktorem... A czemże będziesz?... Masz siebie może za poetę?... Wyobraża sobie, że jest poetą!... Ależ w tobie nie ma nic podobnego, biedny szaleńcze!... I proszę ja kogo, dla tego że wydrukował jakąś tam książczynę, o której nikt nie mówi, której nikt nie czyta, to już ma się za poetę... Ależ biedaku, książka twoja idjotyczna jest, wszyscy mi to mówią... Od dwóch miesięcy wystawiona jest na sprzedaż, a jeden tylko egzemplarz sprzedany i to mój... Ty poetą, dajże pokój!... Tylko ten twój Jakób w jest stanie uwierzyć czemuś podobnemu... Ten także, to mi dopiero naiwny!... a jakie doskonałe listy pisuje przytem do ciebie... Niezrównany jest z tym swoim artykułem Gustawa Planche... A tymczasem zabija się, pracując na ciebie; a ty, a tak..., ty..., powiedz na prawdę, cóż ty robisz? Sam nie wiesz!... Dla tego, że głowa twoja ma pewien charakter, to już i dosyć dla ciebie; ubierasz się za Turka, i zdaje ci się, że to już wszystko!... Najprzód uprzedzam cię, że charakter głowy twojej zatraca się... jesteś brzydki, bardzo brzydki. Spojrz na siebie... Jestem pewna, że gdybyś wrócił do tej swojej panny Pierrotte, ta nawet nie chciałaby już ciebie... A jednakże, stworzeni jesteście dla siebie. Wam obojgu sprzedawać tylko porcelanę w pasażu Saumon, nic więcej. I to dla ciebie daleko stosowniejsze aniżeli teatr..."

„Pieniła się, krztusiła. Nigdy nic podobnego nie widziałeś zapewne. Patrzałem na nią milcząc. Kiedy skończyła, zbliżyłem się do niej, a trząsłem się cały i rzekłem zupełnie spokojnie:

„— Nie chcę być aktorem.

„To powiedziawszy, podszedłem do drzwi, otworzyłem je i wskazałem jej na nie.

„— Mam wyjść? — rzekła szydząc... — Oh! jeszcze nie... mam jeszcze bardzo wiele do powiedzenia."

„Nie wytrzymałem wreszcie. Krew mi uderzyła do głowy. Chwyciłem żelazny pręt od komina i rzuciłem się ku niej... Wyniosła się prędko, możesz mi wierzyć... Mój drogi, w tej chwili zrozumiałem Hiszpana Pacheco.

„Zaraz potem porwałem za kapelusz i wyszedłem z domu. Dzień cały biegałem po mieście jak pijany zataczając się na prawo i lewo... Ah! gdybyś ty był tutaj... Na chwilę przyszło mi na myśl pójść do Pierrotte'a, rzucić się do nóg i wybłagać przebaczenie u czarnych oczu, ale nie ośmieliłem się wejść... Od dwóch miesięcy już nie bywam tam. Pisano do mnie, nie odpowiedziałem nic. Przychodzono do mego mieszkania, chowałem się. Czyż podobna przebaczyć to?... Pierrotte siedział za kantorkiem swoim. Miał minę smutną... Przez chwilę patrzałem na niego przez szybę, a potem uciekłem płacząc.

„Kiedy noc nadeszła, wróciłem. Długo płakałem u okna, wreszcie zacząłem pisać do ciebie. Będę tak pisał przez noc całą. Zdaje mi się, że jesteś tutaj, że rozmawiam z tobą i to mi ulgę przynosi.

„Jaki to potwór ta kobieta! Jak ona była

pewną mnie! Jak uważała mię za swoją zabawkę, rzecz swoją!... Czy ty pojmujesz to? Chciała zrobić mię aktorem zamiastowego teatru!... Radź mi, Jakóbie, nudzę się, cierpię.... Ah! ileż złego zrobiła mi ona! Nie wierzę już w siebie, wątpię, boję się. Co mam robić?... pracować?... Niestety! ona ma słuszność, nie jestem poetą. Książka moja nie sprzedała się... A ty, co zrobisz teraz, jak zapłacisz za nią?

„Całe życie moje skrzywione. Nie widzę przed sobą nic i nic nie wiem. Ciemno dokoła... Są imiona prorocze. Ona nazywa się Irma Borel. Borel, to u nas znaczy bourreau, kat... Irma Bourreau, Irma kat!... Jak to stosowne dla niej!... Chciałbym wynieść się ztąd. Pokój ten obmierzł mi... A przytem narażony jestem tutaj na spotkanie się z nią na schodach... Bo co do tego, by miała tu wejść, bądź spokojny, jeżeli kiedy ośmieli się... Ale nie przyjdzie więcej. Zapomniała o mnie. Ma swoich artystów, co ją pocieszać będą...

„Ah! mój Boże! co ja słyszę?... Jakóbie, mój bracie, to ona. Mówię ci, że to ona. Idzie tutaj; poznałem jej chód... Jest tam, bliziutko. Słyszę jej oddech... Oko jej patrzy na mnie przez zamek, pali mię..."

List ten nie odszedł. (C. d. n.)

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Mróz. Plamy na słońcu. Głód na Szlązku. Podatek od papieru. i „jeden" z Pokucia. Gazieta Lietuwiszka. Pani Orzeszkowa. Wenta na korzyść Stowarzyszenia Pracy kobiet).

Mróz tęgi, kawalerski. Niebo czyste, jasne, „wypucowane", jak powiada stary Jędrzej; śnieg trzeszcze pod nogami, wozy trzeszczą, nawet tramway wydaje dziwne odgłosy... Z pod kapturków zimowych czerwone wyglądają noski, a sam ich widok wystarcza do rozgrzania, jak mówią poeci.

Rozgrzewamy się więc jak możemy, czekając rychło-li nastąpi jakaś niespodziewana zmiana aury, tak kapryśnej w tym całym roku. Deszcze całe lato, teraz mróz potężny a wczesny— jutro może odwilż i dnie ciepłe deszczowe. Jak zawsze, tak i teraz szukają meteorologowie związku tych niełaskawości atmosfery z różnemi odległemi przyczynami i na ten rok przypisują całą winę... słońcu.

Czasopisma naukowe, a za niemi dzienniki pełne są uwag, spostrzeżeń, dat statystycznych wskazujących zależność pogody od ilości plam na wielkiej gwieździe, która nas ogrzewa. I rzeczywiście, rzecz dziwna i dotychczas naukowo nie wytłumaczona, plamy te odgrywają wielką rolę.

Wykazano zestawieniami statystycznemi, że pogoda, urodzaje zmieniają się zależnie od tego, czy takich ciemnych plam na tarczy słońca jest wiele lub mało. A ponieważ największe ilości i najmniejsze powtarzają się na słońcu perjodycznie, w mniej wiecej stałych odstępach czasu, w okresach kilkunastoletnich, więc teraz naprzód już, przybliżenie, można przepowiedzieć, który rok będzie miał dobrą pogodę, a który nieznośną.

Na rok bieżący i przyszły horoskop ten wypadł najfatalniej i jak widzimy sprawdza się w pierwszej połowie bardzo dokładnie.

I ten mróz silny wkładają znowu na listę przewinień słońca, że się nie zdobyło w tym roku na stosowne ukształtowanie swojej powierzchni. Lecz przebaczmy mu, ono temu nie winno.

Zresztą my tu w mieście jakoś wytrzymamy, ale mróz innego rodzaju ścina człowieka, gdy sobie przypomni Szląsk nieszczęśliwy, zaskoczony zimnem i głodem, gdzie pomór głodowy już się zbliża i tyfus zabierać zaczyna ofiary. Rozpaczliwe głosy dochodzą ztamtąd i żądają od nas pomocy. Karol Miarka nadsyła odezwę, którą z najusilniejszem z naszej strony poparciem podajemy:

„Szanowni rodacy! Wiadomość, że gazety warszawskie poruszyły myśl o zbieraniu ofiar dla nieszczęśliwych Górnoszlązaków, czytaliśmy łzawem okiem. Opisać nie mogę wrażenia, jakie ta wiadomość wywołała w całym Górnoszląsku. Zaprawdę, okropna na Górnym Szlązku panuje nędza. Wylewy rzek zniszczyły wszelką nadzieję żniw; nieustanne deszcze na wiosnę i podczas lata zepsuły zboże i jarzyny, w niektórych okolicach nisko położonych, ziemniaki zgniły zupełnie, że ich nawet nie dobywano z ziemi — klęska tem dokuczliwsza, ponieważ lud nasz żywi się ziemniakami i kapustą, która się także nie udała. Stagnacja w handlu i przemyśle, brak odbytu żelaza i węgla i z tejże przyczyny brak zarobku, pomnażają biedę, grożąc głodową śmiercią ubogiemu ludowi, wszystkim zaś warstwom zaraźliwemi chorobami, które w latach 1846 — 1849 trzecią część mieszkańców umorzyły na Górnym Szląsku. Jeżeli kiedy i gdziebądź pomoc była potrzebna, to zapewne dziś dla Górnego Szląska. Bracia! ratujcie rodaków, którzy za każdą pomoc, czy w pieniądzach, czy w odzieży, czy w zbożu, mące lub innej żywności, wdzięcznie się modlić będą za łaskawych dobrodziejów, tem więcej, że to pomoc od rodaków. Dla sprawiedliwego podziału wszelkich ofiar między lud górnoszlązki, obrano komitet, będący oraz dyrekcją górno-szląskiego towarzystwa włościan, liczącego przeszło 4.000 członków we wszystkich powiatach między ludem polskim. Przesyłki prosimy adresować do Józefa Nieraznika, kupca w Mikołowie (Nicolai, Ober-Schlesien). Sprawozdanie o odebranych ofiarach i o podziale tychże przeszlemy swego czasu szanownym redakcjom tych pism, które się zbieraniem składek zajmować będą. Bóg łaskawy, który nagradza i kubek wody podany pragnącemu, zapewne i wam zapłaci hojnem błogosławieństwem. Dyrektor zarządu górno-szląskiego towarzystwa włościan, oraz komitetu głodowego dla Górno-Szlązaków.

Karol Miarka.

* * *

Kiedy przeprowadzone zostały nowe wybory do Rady państwa, to wielką nadzieję pokładano w falandze kilkunastu młodych a nowych posłów; spodziewano się, że sprowadzą oni z sobą świeżość sił nowych, nowszych poglądów i dodadzą ożywienia starej już nieco, i nieco zużytej machinie Koła polskiego. Tymczasem, o ile nas wieści dochodzą, ci młodzi w wielu wypadkach są starsi od starych. Niech tylko jako przykład posłuży fakt następujący, najzupełniej autentyczny, który się wydarzył na jednem z posiedzeń Koła, gdy traktowano sprawę projektów finansowych Krzeczunowicza i Hausnera.

W nowych podatkach wielką rolę gra papier, którego cena wydaje się zbyt niską reprezentacji naszej. Już to wogóle, to co z pisaniem lub drukowaniem a szczególniej z dziennikarstwem ma do czynienia, nie cieszy się tam szczególną sympatją. Żeby można było, toby nałożono podatek olbrzymi na wszystkie możliwe rzeczy służące do pisania. Opodatkowanoby oprócz papieru pióra gęsie i stalowe, kałamarze, atrament, ołówki, okulary i wszystko co z pracą umysłową ma do czynienia.

Otóż gdy mowa była o papierze, jeden z młodych posłów zabrał głos i między innymi motywami przemawiającemi za wyższem opodatkowaniem papieru, przytoczył następujące argumenta: „Chłop nasz, powiedział nie potrzebuje papieru, jemu więc ten podatek czuć się nie da, bo zwykle nie umie i nie potrzebuje czytać i pisać, a zresztą im później się tego nauczy, tem lepiej! Co się zaś tyczy obciążenia przez to dziennikarstwa naszego, to jestem o niem takiego zdania jak arcyksiążę Karol Ludwik w znanem przemówieniu do Dobrzańskiego..."

* * *

W Ameryce prasa polska rozwija się na dobre. Dochodzi nas kilka pism imponującemi rozmiarami, które widocznie mają wystarczającą ilość prenumeratorów, skoro już od tak dawna się utrzymują. Do szeregu takich pism, wydawanych przez rodaków, przybywa nowe całkiem oryginalne. Jest to pierwsza gazeta literacka wychodząca w Nowym Świecie. Tytuł jej *Gazieta Lietuwiszka* a redaktorem p. Twarowski. Nie jest to pierwsze litewskie czasopismo, jak mylnie twierdziły nasze dzienniki, bo oddawna już parę pism takich wychodzi w Prusach, gdzie ten język powszechnym jest między ludem w okolicach granicy rosyjskiej. Nie wiemy nic o ilości Litwinów w Stanach Zjednoczonych; z Litwy znajdującej się pod zaborem moskiewskim mało ich się wyniosło za Ocean, zapewne więc główny kontyngens został dostarczony „z pod Prusaka", według utartego w dziennikach polsko-amerykańskich wyrażeniu. Widocznie jednak jest ich ilość spora, skoro uczuto potrzebę założenia dziennika. Zapewne następne numera przyniosą nam o tem bliższe szczegóły.

Gdy mowa o Litwie, to zaznaczyć musimy iż w Wilnie znakomita powieściopisarka, Eliza Orzeszko, której talent dobrze jest znanym czytelnikom „Tygodnia", założyła księgarnię w której niebawem ukaże się rozprawa pod tytułem: „Patrjotyzm i kosmopolityzm". Od dawnych czasów Zawadzkiego, Orgelbranda i innych gdy księgarstwo w Wilnie tak świetnie stało, gdy to miasto Gedyminowe ogniskiem było ruchu literackiego, wiele się tam zmieniło. Przemocą usunięto wszystko co tylko miało cechę polską i dziś dopiero powoli, skromnie stare i patrjotyczne miasto głowę podnosić zaczyna i jesteśmy pewni, że zdobędzie sobie dawne stanowisko.

* * *

Bawili się i zachwycali występami p. Modrzejewskiej starzy, teraz po jej wyjeździe przyszła kolej zabawy na dzieci. Oto 7. b. m. w niedzielę o godzinie 5 po południu, odbędzie się w sali Kasyna miejskiego rodzaj wenty, a zarazem wielki festyn dla dzieci. Będą tam lalki w strojach historycznych, mgliste obrazy, piękna wojskowa muzyka i wiele innych zajmujących niespodzianek. Nie ulega wątpliwości, że dzieci

z wielką ochotą pójdą na festyn i że rodzice chętnie je nań zaprowadzą, gdyż przyjemność dzieci jest ich własną przyjemnością. Nie wątpimy przeto że sala kasynowa będzie napełnioną, tem więcej, że cel zabawy chwalebny, gdyż dochód zebrany z wenty i biletów wejścia, przeznaczony został na powiększenie funduszów tak zacnej instytucji, jaką jest „Stowarzyszenie pracy kobiet we Lwowie“.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Belcikowski Adam.* Balladyna Słowackiego, dwa odczyty na dochód osad rolnych. 8ka str. 74. Warszawa 1879. ct. 50.

— *Budyta Jan.* Gość na pustyni czyli święty Paweł pierwszy pustelnik i święty Antoni, poemat w jednej pieśni osnowany na tle żywotów Świętych Pańskich. 16ka str. 47. Warszawa 1879. ct. 35.

— *Czesław.* Poezje. 8ka str. 94. Warszawa 1879. ct. 85.

— *Deotyma.* Zwierciadlana zagadka, powieść 8ka str. 244. Warszawa 1879. zł. 2.

— *Greene.* Szary dom, powieść dla młodzieży przełożyła z ang. Anastazja Dzieduszycka 8ka str. 142. Warszawa 1879. ct. 85.

— *Grudziński Stanisław.* Dwie mogiły, poemat na tle podań ludu ukraińskiego osnuty 8ka str. 51. Warszawa 1879. ct. 85.

— *Grossglik Izrael Leon.* Chadery i Melamedy. Kilka uwag w sprawie wychowania młodzieży żydowskiej ku rozwadze zachowawczej braci. 8ka str. 23. Warszawa 1879. ct. 40.

— *Grzechy i cnoty* w 30 powiastkach opowiedziane dziatkom 8—10 letnim ozdobione 5 kolorowanemi obrazkami z francuskiego. Wyd. trzecie poprawne, 16ka str. 173. Warszawa 1880. Oprawne. zł. 1. ct. 25.

— *Hollok i Jagodziński.* Słownik mimiczny dla głuchoniemych i osób z nimi styczność mających, 8ka str. 535. Warszawa 1879. zł. 3. ct. 70.

— *Jak pastnikom bywa*, książeczka obrazkowa z wierszykami dla dzieci. 4to Warszawa 1879. zł. 1. ct. 70.

— *Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.* Obrazek przez W*** 8ka str. 19. Częstochowa 1878. ct. 15.

— *Jan z Rzeszowa.* Powieści z pisma świętego. Wierszem dziatwie opowiadane, 8ka str. 104 z rycinami. Warszawa 1879. zł. 1. ct. 25.

— *Kempis Tomasz.* O naśladowaniu Jezusa Chrystusa ksiąg czworo z dodaniem upomnień zbawiennych. Wydanie czwarte poprawione i pomnożone. 8ka str. 376. Warszawa 1879. ct. 85. Na lepszym papierze zł. 1. Na welinie zł. 2.

— *Kleczkowski Wł.* Notatki tyczące się hygieny pokarmowej. Studja fizjologiczne na podstawie doświadczeń oparte, a do pojęć ogółu zastosowane 16ka str. 14. Warszawa 1879. ct. 25.

— *Klonowicz Sebastjan.* Flis, to jest spuszczanie statków Wisłą i innemi rzekami do niej wpadającemi. 16ka str. 87 (Bibljoteki Mrówki tomik 79). Lwów 1880. ct. 20.

— *Kraków Paulina.* Branka tatarska, powieść dla młodzieży 8ka str. 124 z licznemi rycinami. Warszawa 1880. ct. 85.

— *Kraków Paulina*, Kampanella czyli koleje życia sieroty, według angielskiego Mrs. Jerome Mercier 8ka str. 286 z licznemi rycinami w pięknej oprawie zł. 3. ct. 35.

— *Kramstyk St.* Wykład arytmetyki handlowej. Część ogólna obejmująca zastosowanie zasad arytmetyki do potrzeb i zwyczajów kupieckich 8ka str. 258. Warszawa 1879. zł. 3. ct. 35.

— *Książeczka babuni.* Małe powiastki dla dzieci od lat 4 do 7. naśladowane przez Felicję Szymanowską z licznemi drzeworytami w tekście 8ka str. 237. Warszawa 1880 w pięknej oprawie 2 zł.

— *Kuczyński Aleks.* Podręcznik techniczny dla użytku inżynierów, budowniczych, geometrów, techników i przemysłowców. 8ka str. 210 z 44 drzeworytami w tekście. Warszawa 1879. zł. 1. ct. 70.

— *Lalka Maniusi.* Prześliczna książeczka obrazkowa dla grzecznych dziewczątek. 4to Warszawa 1880. ct. 85.

— *Lubowski Edward.* Czarnokwit, komedja w trzech aktach 8ka str. 136. Warszawa 1879. zł. 1.

— *Mętlewicz X. J. K.* Gwiazdka Boża. Książeczka do nabożeństwa dla małych dziatek. 16ka str. 152. Warszawa 1879 oprawne w płótno zł. 1. ze złoconemi brzegami zł. 1. ct. 35. oprawne w skórę ze złoconemi brzegami zł. 1. ct. 70.

— *Morgenbesser A.* Palestra czyli wojna prawników w siedmiu pieśniach. 16ka str. 53. (Bibljoteka Mrówki tomik 81). Lwów 1880. zł. 20.

— *Nowicki Wł.* Jak uczyć początków języka. Wskazówki dla rodziców i nauczycieli. 8ka str. 85. Warszawa 1879. ct. 50.

— *Ołdakowski ks. Jul.* Podręcznik katechizmowy dla młodzieży wyznania rzymsko-katolickiego 8ka str. 252. Warszawa 1879. zł. 1.

— *Opowiadania matki*, małym dziatkom. 16 powiastek ozdobionych 5 kolorowemi obrazkami. Wydanie trzecie 16ka str. 179 oprawna zł. 1. ct. 25.

— *Rostofiński Dr. J.* Noc świętojańska i kwiat paproci 8ka str. 24. Warszawa 1879. ct. 25.

— *Sienkiewicz Henryk.* Pisma tom I.: Stary sługa, Hania, Szkice węglem, Janko Muzykant. 8ka str. 344. Warszawa 1880. zł. 2. ct. 50.

— *Szyller Fryderyk.* Wilhelm Tell, czyli oswobodzenie Szwajcarji, przekład J. N. Kamińskiego 16ka str. 208. (Bibjoteki Mrówki tomik 82—3). Lwów 1880. ct. 40.

— *Szymonowicz Szymon.* Sielanki 8ka str. 128. (Bibljoteki Mrówki tomik 80). Lwów 1880. ct. 20.

— *Użytkowanie owoców*, czyli konserwowanie i przerabianie na konfitury, soki, likiery, wina, cukry owocowe i t. p. oraz zasuszanie i konserwowanie jarzyn. 8ka str. 288. 80 z licznemi illustracjami w tekście Warszawa 1879. zł. 2. ct. 50.

— *Verne Juljusz.* Zima pośród lodów, opowiadanie z rysunkami Adrjana Marie, tłumaczenie Stanisława M. Rzętkowskiego z licznemi drzeworytami 8ka str. 136. Warszawa 1880. W pięknej oprawie zł. 3.

— *Vogel Dr. Alfred.* Patologja i terapia szczegółowa. Choroby narządu trawienia 8ka str. 313. Warszawa 1879. zł. 8. ct. 50.

— *Wernicki Aleks.* Leonard Chodźko i jego prace. Krótki rys biograficzny i naukowy. 8ka str. 334 Lwów 1880, zł. 1.50.

— *Wójcicki K. Wł.* Bibljoteka dziadunia. Zarys literatury polskiej w opowiadaniach dla dziatwy z rycinami 8ka str. 266. Warszawa 1879 w pięknej oprawie zł. 3.

— *Zabawki Kazia.* Prześliczna książeczka obrazkowa dla pilnych chłopczyków. 4to Warszawa 1880. ct. 85.

— *Zaccone Piotr.* Walka o imię. Powieść, 8ka str. 200. Warszawa 1879. zł. 2.

— *Żdżarska Józefa.* Powinszowania wierszem i prozą dzieciom i młodzieży poświęcone 8ka str. 116. Warszawa 1880. ct. 70.

— *Z życia zwierząt.* Książeczka obrazkowa dla małych dzieci. 4to. Warszawa 1880. ct. 70.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** *Bibljoteka uniwersalna.* Pod tym tytułem mają w Tarnowie wychodzić książki w taniem wydaniu, w celu niby spopularyzowania znakomitych utworów tak polskiej, jak i innych literatur. Nikt bardziej od nas nie poczuwa potrzeby tanich wydawnictw, gdy od lat jedenastu walcząc z apatją publiczności prowadzimy wydawnictwo *Bibljoteki Mrówki* i wydaliśmy już 86 tomików dzieł pierwszorzędnej wartości, dając takowe publiczności po nadzwyczaj niskich cenach. Gdyby wydawane przez nas dzieła znajdywały nadzwyczajny pokup, tobyśmy nie dziwili się, że ktoś chcąc ciągnąć korzyści, rozpoczyna podobne wydawnictwo, jakkolwiek i w takim razie nie moglibyśmy pochwalać tego kroku, bo własnych korzyści nie należy stawiać po nad dobro publiczne, a konkurencja ta tylko szkodliwie oddziaływać może, czego dowodem, że ani Niemcom nie przyszło na myśl robić drugiego wydawnictwa ich „Bibljoteki Uniwersalnej“, ani Francuzom zakładać drugą „National Bibliotheque“, pomimo iż sto razy mają więcej od nas kupujących książki. Gdyby wydawcy tarnowscy mogli wynaleźć lepsze dzieła, znakomitszych autorów, ale muszą oni przedrukowywać to samo, co już jest lub będzie w dalszym ciągu wydanem w *Bibljotece Mrówki.* Wobec tego okazuje się wyraźnie, że zakładanie tego samego rodzaju taniego wydawnictwa jak istniejące, nie tylko nie może przynieść krajowi żadnych korzyści, ale jest z jednej strony zmarnowaniem kapitułu, z drugiej bardzo szkodliwą rywalizacją, podkopującą byt z takim trudem i ofiarnością prowadzonej przez nas *Bibljoteki Mrówki.*

Niedawno ogłoszono tegoż rodzaju wydawnictwo w Przemyślu, które jednak nie przyszło do skutku. Tu we Lwowie rozpoczęto niegdyś wydawać *Bibljotekę Nowin*, ale i ta po czterech tomikach usnęła. W Warszawie A. Wiślicki wydał kilka tomików podobnej bibjoteki, przedrukuwując te same dzieła, które są objęte *Brljoteką Mrówki*, ale nie znalazł poparcia. Słyszeliśmy o projekcie wydawania *Bibljoteki kieszonkowej*, która ma właśnie tem się odznaczać, że będzie to samo przedrukowywała, co już wydaliśmy w *Bibljotece Mrówki*, wreszcie w Tarnowie zapowiadają *Bibljotekę uniwersalną.* Oto dopiero chaos w głowach panów wydawców! Ktoś gotówby pomyśleć, że wszystkie te projekta są podejmowane w celu sparaliżowania naszych czynności, w celu uniemożliwienia dalszego wydawnictwa *Bibljoteki Mrówki* — tak nie jest. Jest to kosztowna zabawka ludzi niewiedzących jak użytecznie rozrządzić posiadanym kapitałem. Wszelako winniśmy im powiedzieć z Krasickim:

Przestańcie dzieci, bo się źle bawicie,
Dla was to jest igraszką — nam idzie o życie.

Takjest Nam idzie o życie. Nie potrzebujemy tego dowodzić; jedenastoletnia wytrwała praca nad ugruntowanием *Bibljoteki Mrówki*, włożenie w to wydawnictwo kilkunastu tysięcy zł. r., dowodzi, że bierzemy rzecz na serjo, a jeżeli komu może wydawać się czynność nasza zbyt powolną, rezultat starań naszych zawarty w 86 tomikach zbyt małym, to na to odpowiemy, że nierozporządzając krociami zawiśli jesteśmy od kupującej publiczności i w miarę wycofywania włożonego w wydawnictwo kapitału, możemy takowego używać na dalsze wydawnictwo. Właśnie to powolne ruszanie się nasze jest miarą, z jaką apatją się spotykamy i z jakiemi trudnościami walczyć musimy.

*** W dalszym ciągu Bibljoteki Mrówki opuściły prasę: Fr. Szyllera *Wilhelm Tell* w przekładzie polskim J. N. Kamińskiego i *Śpiewnika polskiego* tom V., zawierający 164 piosnek patrjotycznych. Tom VI. i prawdopodobnie ostatni *Śpiewnika polskiego* wkrótce oddany zostanie do druku.

*** Aleksandra Wernickiego *Leonard Chodźko* i jego prace, krótki rys biograficzny i naukowy drukowany w „Tygodniu“, wyszedł w osobnej książce.

*** Kalendarz dla nauczycieli i wykształceńszych stanów, na rok 1880, opracowany przez Edmunda Bączalskiego, profesora wyższej szkoły realnej w Stanisławowie, opuścił w tych dniach prasę drukarską i kosztuje zł. 1 ct. 20.

*** Nakładem S. Lewentala pojawiła się na półkach księgarskich powieść historyczna Kraszewskiego pod tyt.: „Grzechy hetmańskie“ z rysunkami Juljusza Kossaka, pomieszczona w *Kłosach.*

O nowości tej pomówimy obszerniej na właściwem miejscu, tu jednak dodamy jeszcze, że „Grzechy hetmańskie“, ozdobione rycinami Kossaka, wydane w tym samym formacie co „Meir Ezofowicz“ Orzeszkowej, stanowić mają niejako zaczątek illustrowanej bibljoteki powieściowej, na wzór tego rodzaju wydawnictw zagranicznych.

Pod względem artystycznym i typograficznym, dwa wspomniane dzieła przewyższają o wiele podobnych publikacji niemieckich i francuskich.

„Grzechy hetmańskie“ ukazać się mają w dwóch edycjach, z których jedna ma być również illustrowaną, w Rydze i Moskwie, przełożone na język rosyjski.

Nic dziwnego, bo powieść ta należy do najcelniejszych z historycznego cyklu naszego niestrudzonego pisarza.

*** Znany autor, Juljan z Poradowa, wykończył obecnie pięcioaktowy dramat wierszem białym p. t. „Kleopatra“.

Rzecz została wydaną w niezwykle ozdobnej szacie w... Pizie.

Treść dramatu stanowią losy pięknej, lecz płochej i zdradzieckiej królowej Egiptu, która nie mogąc podbić Cezara, z rozpaczy po zamordowaniu kochanka Marka Antoniusa, śmierć sobie zadaje.

*** Nakładem spółki księgarskiej opuściło prasę poważne dzieło Luysa pod tytułem: „Mózg i jego czynności.“

Przekładu dokonał dr. Teodor Dunin.

*** Znana powieść Elizy Orzeszkowej pod tytułem: „Meir Ezofowicz“, zamieszczoną jest w przekładzie w jednym z dzienników rossyjskich.

*** W New Yorku wyszedł pierwszy numer— pierwszej w Ameryce i na nowym świecie — *Gazety litewskiej*. Jest to pismo tygodniowe. Istnienie zapewnili pismu Litwini, pochodzący przeważnie z Prus książęcych, między którymi są jednak i z Augustowskiego. Mają oni kilka kolonij z własnemi kościółkami, szkółkami, mianowicie w okolicy Shamokin, Lyckiu i t. d. w Pensylwanji.

*** W Londynie ukazały się „Listy Karola Dickensa“, wydane przez bratową i jego najstarszą córkę. Pierwsza edycja rozkupiona została w kilka dni. Listy mieszczą się w dwóch tomach i budzą wielki interes.

*** Wyszedł z druku przekład pięciotomowego utworu beletrystycznego Mewesa pod tytułem: „Majątek i miłość“.

Powieść ta osnuta jest na tle wypadków spółczesnych.

*** Nakładem redakcji piotrkowskiego *Tygodnia* opuściła prasę wdzięczna powieść ludowa „Córka kamieniarza“.

Jestto utwór znanej i u nas czeskiej powieściopisarki Karoliny Świetli — przekład p. Marji Grabowskiej.

*** Z powodu stuletniej rocznicy urodzin słynnego poety duńskiego Oehlenschlaegera, obchodzonej obecnie uroczyście w Kopenhadze, winniśmy zaznaczyć, iż jeszcze w roku 1858 Bolesław Wiktor (Stanisław Budzyński) przyswoił nam jego dramat p. t. „Corregio“.

*** Z pomiędzy włoskich współczesnych powieściopisarzy Salwator Farina słusznie cieszy się szeroką popularnością u swoich i zagranicą.

Świeża powieść tego autora p. t. *Amore bendato* (Ślepa miłość) przyswaja naszemu językowi pani Walerja Hryniewska dla jednego z pism perjodycznych, poczem powieść ta zapewne w oddzielnej wyjdzie odbitce.

Sztuki piękne.

*** Do salonu sztuk pięknych Józefa Ungra w Warszawie ma nadejść wkrótce kilka jeszcze większych prac Maurycego Gottlieba.

Znajdują się między niemi jedno z celniejszych dzieł zmarłego artysty „Chrystus przed sądem“; oraz „Saladyn i Sittach grający w szachy“ i „Ratunek z płomieni“.

*** Do najlepszych płócien w „Kunstvereinie“ należą niewątpliwie dwa w połowie tylko wykończone olejne szkice (do „Natana“) Maurycego Gottlieba.

„Oryginalny, świeży i pełen sił młodzieńczych talent Gottlieba umiał nadać tym obrazkom wielką żywość i interes, jakkolwiek brak wykończenia nie pozwala sądzić bezwzględnie o ich artystycznej wartości.

Jeden z nich znacznie lepszy i dalej doprowadzony przedstawia „Saladyna“ i „Siłę“ grających w szachy, drugi nazwany niewłaściwie „Wyratowaniem“ zdaje się być sceną odwiedzin Templarjusza w domu Natana“.

„Prócz wspomnianych już prac zgasłego przedwcześnie dla sztuki Gotlieba — znajduje się w „Künstlerhausie“ wiedeńskim wiele innych płócien polskich.

„Rodzajowe“ Streitta, pejzaże Maleckiego i Sidorowicza powszechny zyskały poklask.

Szczególniej odznaczył się Sidorowicz wiernem odtworzeniem natury, żywym a naturalnym kolorytem, doskonalą wreszcie perspektywą.

Dwa „Zaprzęgi krakowskie“ Szernera malowane są z werwą i życiem.

„Wyjazd na polowanie“ Kowalskiego zyskał sobie nader przychylną ocenę tutejszych krytyków, i jeśli się nie mylimy, został nawet reprodukowany w jakiemś niemieckiem czasopiśmie ilustrowanem.

Nieobecny na wystawie Leopolski zajęty jest obecnie wielkich rozmiarów płótnem, którego szkic widzieliśmy w tutejszej jego pracowni.

Obraz przedstawia „Odwiedziny cesarza Karola V-go w klasztorze.“

Owoc to ścisłych a umiejętnych studjów historycznych i estetycznych — Leopolski odtwarza kilka postaci z przeszłości ze sumiennością archeologa i wysokiem poczuciem piękna prawdziwego artysty, nie kusząc się ani o dramatyczny nastrój, ani o akcesorja błyszczące.

Rysunek tu delikatny, czysty, układ prosty, naturalny, spokój i powaga — słowem, kreacja, która stanie się naczelną w rzędzie wielu znakomitych prac tego malarza.

Nieliczne grono rzeźbiarzy polskich zapracowało „nad pięknym modrym Danajem“ na uczciwe imię.

Młodziuchny Tadeusz Błotnicki, obdarzony niedawno wielką nagrodą akademji sztuk pięknych za śliczną iście „Świteziankę“, twórca „Samsona“, rzeźby zamaszystej, wykwitnie wykończonej, rzucił obecnie model pomnika Piusa IX-go, przeznaczonego dla katedry grecko-katolickiej we Lwowie.

Utworowi temu piękne rokują nadzieje.

Pius IX-ty przedstawiony jest w siedzącej postawie w stroju pontyfikalnym, z ręką podniesioną do błogosławieństwa.

Twarz papieża, uśmiechem łagodnym, rozjaśniona, celuje podobieństwem, draperje ułożone śmiało, rzecz cała nosząca piętno niepospolitego talentu.“

*** Dochód z kart wstępu na wystawę sztuk pięknych w Monachjum wyniósł od początku jej otwarcia 220.000 marek.

*** W Wiedniu słowiańskie towarzystwo śpiewaków obchodzi 25-letnią rocznicę swego istnienia wielką koncertową „besedą“, pod kierunkiem swego dyrektora, pana Ruchty. Z naszych artystów biorą udział w koncercie: prof. Śmietański (fortepianista) i Stanisław Kochanowski (skrzypek). Wykonane tam będą chóry w różnych językach. Odśpiewaną też będzie dumka kompozycji Rudkowskiego. „U nas inaczej“ (słowa Bohdana Zaleskiego). Na wyszczególnienie zasługują: rapsodja Śmietańskiego osnuta na polskich tematach i improwizacja Henzelta (czecha), czerpana z melodyj słowiańskich. Obydwa utwory odegra Śmietański. Po koncercie odbędzie się wspólna uczta.

*** Drezdeńskie konserwatorjum pozyskało obecnie znakomity nabytek w osobie sławnego nauczyciela śpiewu maestra Lamperti'ego, który dotychczas przemieszkiwał w Medjolanie, gdzie rok rocznie zjeżdżały się do niego uczennice nietylko ze wszystkich krajów Europy, ale nawet z Ameryki.

*** Jego świetna nauka i metoda śpiewu ma rozgłos w całym świecie muzykalnym, i wydała w ostatnich czasach wiele celnych śpiewaczek i śpiewaków, jako to: Amalję Fossa, Emmę Wiziak, Marcellę Sembrich (Kochańską), Justynę Rafaeli (Machwicówne), Emmę Zagury Harris, Emilję Chiomi, Ottawę Torriani, Fanny Vogri, Wandę Bogdani (Kleczkowską), Emmę Havton etc. etc.; tudzież tenorów; Vincenzo Andreoli Stagno Guiseppe Fancelli, Melchiore Vidal etc. etc.

Maestro Lamperti przybył do Drezna w połowie października — wszystkie jego uczennice opuściły Medjolan i przyjechały razem z nim, nie chcąc przejść do innej metody i do innego nauczyciela — co najwymowniej świadczy o niepospolitej jego nauce.

Oprócz swej działalności w konserwatorjum maestro Lamperti daje lekcje prywatne u siebie, jak to się praktykowało w Medjolanie, a które mu taki zjednały rozgłos.

Tak więc Drezno stało się od razu nową kolonją artystyczno-wokalną!

Teatr.

*** Erckman i Chatrian wygotowali nowy pięcioaktowy dramat pt. „L'Alsace“, którego tytuł zmieniono następnie na „L'Option“; sztuka ta będzie graną w teatrze Ambigu.

*** W teatrze Bouffes Parisiennes przedstawiono w tych dniach po raz pierwszy trzechaktową komedję komiczną p. t. „Les noces d'Olivette“ ze słowami Chivota i Durna, a z muzyką Andrana; operetka ta zyskała poklask.

*** „Nabab“ na scenie.

Podobnie, jak pierwsza głośniejsza powieść Daudet'a „Fromont jeune et Risler ainé“, przerobioną obecnie została druga „Nabab“ do użytku scenicznego.

Wkrótce ma być dramat ten wykrojony z powieści przedstawiony — w teatrze „Vaudeville“ w Paryżu.

Za pozwoleniem autora zajął się przeróbką p. Piotr Elzéar; korzystniej może dla sztuki byłoby, gdyby Daudet sam był podjął się tej pracy, ale na zrobioną mu propozycją odpowiedział przecząco, tłómacząc się, że jego sceniczna przeróbka „Fromonta“ nie powiodła mu się tak, jak pragnął.

Nie łatwa to też sprawa, zastosować „Nababa“ do warunków sceny, zwłaszcza paryzkiej.

Wiadomo dobrze, że Daudet bohatera swej słynnej powieści skopjował z natury i zdjął wierną literacką fotografję z pewnego przedsiębiorcy, nazwiskiem Bravais, znanego dobrze w całym Paryżu.

Tenże Bravais wyświadczył i Daudetowi niejedną przysługę, gdy młody jeszcze i nieznany autor, bez rozgłosu i środków, przybył z południowej Francji do stolicy...

Jak „Nabab“ Daudeta, Bravais zarobił miljony na swoich przedsiębiorstwach, ale znowu je stracił, przez swoją dobrotliwość, wiarę w ludzi i uczynność; pełnemi rękoma rozdawał on złoto, aż nareszcie jemu samemu zabrakło go w końcu.

Synowie i krewni Bravais'a, z przyczyn bardzo zrozumiałych — nie byli wcale zadowoleni z pojawienia się powieści, której bohaterem był ten znany powszechnie, a tak dobrze skopjowany oryginał.

Dotkliwszą dla dzieci była w romansie charakterystyka ich matki, tej opasłej, grubej i leniwej lewantynianki, żony Nababa.

Miało przyjść nawet do pojedynku między Daudetem i jednym z synów Bravais'a.

Wówczas dało się jakoś tę sprawę ułożyć, ale teraz przy wystawieniu sztuki, przy wznowieniu tej całej historji familijnej niejako publicznie, w teatrze — powstać mogą nowe reklamacje i oburzenia, w których przewidywaniu Daudet zapewne odmówił propozycji przerobienia swego romansu na scenę.

Trzeba było postąpić zręcznie i usunąć możliwe szkopuły; tak się też stało.

Bohater dramatu został zmieniony nieco, żonę usunięto zupełnie z widowni, a charakterowi Nababa nadano jeszcze więcej sympatycznych i ujmujących rysów...

Niemniejszą trudność przedstawiało wprowadzenie drugiej osobistości na scenę, która w romansie ważną odgrywa rolę pod nazwiskiem księcia de Mora.

Wiadomo bowiem, kogo autor miał na myśli, kreśląc z taką finezją tę postać, w której wszyscy od razu poznali półkrwi brata Napoleona III, ks. de Morny...

Zarzucano nawet Daudetowi niedyskrecję, że jako były sekretarz księcia, użył go potem za przedmiot literacki.

Zbyt dobrze utrzymał się w pamięci Paryżan ks. de Morny, aby go można było przedstawić ze sceny publiczności w takim charakterze, w jakim

występuje w romansie; otóż zaradzono i tej drażliwości — usunięto i księcia zupełnie za kulisy... mówi się o nim w dramacie, ale go nie widać.

Nareszcie jeszcze jeden szkopuł!

W romansie przepyszną figurą jest artystka Felicja, rzeźbiarka, natura ekscentryczna, oryginalna, nieugięta, która w końcu oddaje się przecież ks. de Mora.

Ta rzeźbiarka i malarka zarazem, ta ekscentryczka trochę narwana, nerwowa a niepospolita w charakterze artystki, jeżdżąca konno z podziwienia godną elegancją, słowem ta Felicja — to nie kto inny podobno, tylko... Sara Bernharot w swej własnej osobie.

Cóż z nią?... zostawiono ją bez zmiany na scenie, nie chcąc uwzględniać ani jej nerwów, ani drażliwości kobiecej, ani przykrości, jaką jej ta żywa kopja sprawić może...

Panna Pierson objęła rolę Felicji; jest ona także jak Sarah Bernhardt, rzeźbiarką i będzie przed publicznością naprawdę modelow ała biust Nababa w scenie, przedstawiającej pracownię Felicji!

Bezwątpienia wystawienie „Nababa“ w tegorocznym sezonie zimowym będzie jednym z sensacyjnych wypadków scenicznych.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

⁂ W Paryżu z inicjatywy najpopularniejszych i najulubieńszych aktorek założony został wielki zakład dobroczynny. Stowarzyszenie to zamierza adoptować małe dziewczynki, porzucone przez swych rodziców. Na czele stowarzyszenia stoją: Madame Tarbi, Sarah Bernhardt, panna Abbéma, Rosyna Bloch, Zulma Bouffar, Judic, Theo i inne znakomite aktorki.

⁂ Dr. Bieliński zamierza podobno otworzyć w Ojcowie zakład hydropatyczny na wzór istniejącego już w Nowem-Mieście.

⁂ Paryż posiada 64 kościołów katolickich, 10 protestanckich, 2 synagogi, 7 prezbiterjów, 3 konsystorze; pokrywają one powierzchnię 196,331 metrów kwadratowych i mają wartość 213,033,984 franków.

⁂ Stan finansowy Europy. W jednem z niemieckich pism specjalnych znajdujemy ciekawe zestawienie stanu finansowego państw europejskich za pierwsze półrocze r. b.

Zestawienie to zwraca uwagę zarówno na ruch finansów państwa, jak i na powstające przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe i pozwala ciekawe ztąd wyprowadzić wnioski.

Jak więc widać z cyfr, największą w kierunku przemysłowo-handlowym przedsiębiorczością odznaczała się Francja, najmniejszą Rosja i Grecja.

W ciągu półrocza powstało we Francji aż 86 nowych przedsiębiorstw z kapitałem do 400 miljonów franków.

Przedsiębiorstwa te były; zakładanie nowych banków, powiększanie kapitału obecnie istniejących, zakładanie towarzystw asekuracyjnych i banków kredytowych, wreszcie towarzystwa górnicze.

Emisja towarzystw eksploatacyj kopalń różnych metalów i węgla dochodziła do 43 miljonów franków.

Akcje banków były emittowane następujące: „Banque parisienne“ 22,700,000, „Crédit lyonnais“ 21,250,000, „Union génèrale“ 10,000,000, „Société financière“ 20,000,000, „Crédit mobilier“ 8,000,000; razem emisja wynosi 91,520,000 fr.

Założone też zostały nowe banki hypoteczne „Fondiaria“ z kapitałem zakładowym 28 miljonów i „Metropole“ z emisją 23 milj. fr.

Dodać należy, iż nie na tem kończy się przedsiębiorczość francuzów.

Oto w początkach drugiego półrocza założony już został „Banque hypothécaire de France“ z kapitałem 160 mil. franków.

Nietylko zresztą prywatna inicjatywa działa w tym kierunku, ale i państwo rzuca się na drogę przedsiębiorczości.

Oto niedawno w parlamencie rozpatrywano projekt pobudowania kosztem rządu przeszło 20,000 wiorst nowych dróg zwykłych i kolejowych, koszt czego wyniesie do miljarda franków.

Emisja za to pożyczek państwowych we Francji dosięga obecnie bardzo niewielkich rozmiarów, a mianowicie w pierwszem półroczu r. b. zaledwo 743000 franków; oprócz Portugalji, Szwecji i Hiszpanji, które zupełnie nie wypuszczały państwowych zobowiązań długowych, żadne z państw nie zaciągnęło przez ten czas tak małego długu.

Na przeciwległym biegunie znajduje się Rosja, w której emisja zobowiązań państwowych dosięgła w ciągu półrocza 1,400,000,000 franków, zaś emisyj instytucyj kredytowych i przemysłowych nie było żadnych.

W podobnem położeniu znajduje się Grecja, która przy zupełnym braku emisji kredytowej i przemysłowej zaciągnęła dług państwowy w wysokości 47,100,000 fr.

Znaczną także jest cyfra obligacyj państwowych wypuszczonych w Anglji (209,212,000 fr.), następnie idą Niemcy (132,812,000 fr.) i Belgja (64,994,000 fr.).

Emisja instytucyj kredytowych najwyższą jest, jak wiemy, we Francji (146,370,000 fr.), następnie zaś idą Szwajcarja (29,200,000 fr.), Niemcy (20,625,000 fr.) i Szwecja (9,000,000 fr.).

Emisja przemysłowo-kolejowa była też najwyższą we Francji (251,502,000 fr.), potem następują: Niemcy (105,098,000 fr.), Anglja (70,227,000 fr.) i Portugalja (24,974 fr.).

Co się tyczy ogólnej liczby wypuszczonych obligacyj, największą jest ona w Rosji (1,400,000,000 fr.), we Francji (405,116,000 fr.), w Anglji (279,437,000 fr. i w Niemczech (258,536,000 fr.), najmniejszą zaś w Szwecji (9 milj. fr.), Hiszpanji (5 milj. fr.) i w Austro-Węgrzech (4 milj. fr).

Ogółem emisja różnych obligacyj w państwach europejskich w ciągu pierwszego półrocza r. 1879 wynosiła 2705 miljonów franków, w tej liczbie dług państwowy 1928 miljonów, emisja instytucyj kredytowych — 205 milj. fr. i emisja przemysłowa — 571 milj. franków.

⁂ Mynicypalność miasta Madrytu przeznaczyła dwa miljony pesetas na urządzenie festynów z okazji małżeństwa króla Alfonsa. Komitet festynowy uchwalił: 1) rozdać ubogim 50,000 pesetas, a djurnistom 20.000; 2) utalentowanemu malarzowi polecić wykonanie portretu królowej dla sali posiedzeń; 3) nowemu przytułkowi Alsala de Henarés nadać miano dony Marji Krystyny: 4) za 10 ubogich studentów uniwersytetu centralnego opłacić dyplomy licencyjne; 5) w różnych punktach miasta umieścić latarnie rozmaitych systemów ulepszonych; 6) w salonach magistratu wydać wielki bal; 7) w jednym z trzech pierwszych dni weselnych inaugurować posąg Calderona wystawiony na placu Santa Anna; 8) urządzić ognie sztuczne i iluminacje.

⁂ W Liverpool czynione są próby importacji bydła żywego z Australji do Anglji. Pierwsza przesyłka już została wysłana. Bydło wytrzymuje dobrze przeprawę morską i przychodzi do Europy w stanie zupełnego zdrowia.

Wynalazki i odkrycia.

⁂ Profesor Peters w Clinton w stanie nowojorskim odkrył ośmnastego w tym roku kometę.

⁂ W okolicach Quer odkryto grotę z epoki kamiennej; znaleziono w niej wielką ilość zębów i kości niedźwiedzi, oraz naazędzi sięgających wieku kamiennego.

⁂ W szkockiem hrabstwie Rosshire, w Strubefgon, w pobliżu Ardross i Balnagowan, w majątku sir Charles Roesa, odkryto rudę złotą w dobrym gatunku.

⁂ W Bâle odkopano kasetkę z monetami złotemi i srebroemi z XIII i XIV wieku; wartość tych pieniędzy oceniają na 15.000 franków.

Od Redakcji.

Postanowiwszy rozesłać prenumeratorom Tygodnia Polskiego jako premium za r. 1879, litografowaną kopję obrazu Jana Matejki „Sejm Grodzieński“, poczyniliśmy stosowne kroki celem wykonania tego zamiaru. Ponieważ obraz wspomniany jest własnością Cesarską, więc przedewszystkiem starać się należało o stosowne pozwolenie, które też otrzymaliśmy. Następnie znieśliśmy się z pierwszorzędną firmą litograficzną wiedeńską Rejfenstejn i sp. ktorej litografię wspomnioną wykonać poleciliśmy.

Atoli firma ta, dowiedziawszy się, że p. Matejko reprodukcji z tego obrazu nikomu robić nie pozwala, zwróciła na to naszą uwagę.

Udaliśmy się więc i do autora obrazu, lecz p. Jan Matejko, pomimo uprzejmych próśb naszych, nieraczył nam nawet odpowiedzieć, prywatnie tylko wyrzekł, że na odbicie litograficzne Sejmu Grodzieńskiego nie pozwoli.

Nie chcąc robić przykrości Panu Matejce, obmyśliliśmy dla prenumeratorów naszych inne premium, a mianowicie wspaniałą kopję (86 centim. szeroką a 47 centim. wysoką) z obrazu

„ŚWIECZNIKI CHRZEŚCIJAŃSTWA“

HENRYKA SIEMIRADZKIEGO

będąc przekonani, że Szanowni Prenumeratorowie wybór nasz pochwalą, gdyż tym sposobem obok arcydzieła, otrzymają miłą pamiątkę obrazu, który Siemiradzki tak wspaniałomyślnie ofiarował krajowi.

W końcu przepraszamy Szanownych Prenumeratorów za zwłokę, która wskutek opisanych powyżej okoliczności nastąpić musiała, której my wszakże winni nie jesteśmy.

Kopja Świeczników Chrześcijaństwa gotową będzie z początkiem r. 1880 i natychmiast Szanownym Prenumeratorom rozesłaną zostanie.

Odpowiedzi Redakcji.

P. Leopold W. we Lwowie. Co do szkiców M. Twaina— prosimy o osobiste porozumienie się z Redakcją, lub o adres dokładny.

P. F. M. S. Wiersz p. t. Do młodego artysty nie może być drukowany w Tygodniu.

P. Wacławowi Kon... we Lwowie. Wiersz król Dębów nie może być drukowany w Tygodniu.

Treść Nr. 45.

Z drukarni Dziennika Polskiego, pod zarządem Leona Zubalewicza. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.